

Unijne pieniądze na rozwój miasta

Będzie duże wsparcie z Lubuskiego Regionalnego Programu Operacyjnego dla Gorzowa.

Po Gorzowie będą jeździć kolejne hybrydowe autobusy, rozpocznie się budowa centrum przesiadkowego przy dworcu PKP, Szkoła Podstawowa nr 1 zostanie gruntownie zmodernizowana, a Miejskie Centrum Kultury będzie mieć siedzibę w dawnej Przemysłowce. Właśnie te projekty zostaną dofinansowane z funduszy unijnych, z Regionalnego programu Operacyjnego - Lubuskie 2020.

Kupimy hybrydowe autobusy

Umowę na zakup dwóch autobusów o napędzie hybrydowym podpisali członek zarządu województwa Marcin Jabłoński z prezesem MZK Romanem Maksymia-kiem. Obecnie po Gorzowie jeździ 6 autobusów hybrydowych, te będą kolejne.

- Od kilku lat intensywnie zmieniamy tabor MZK. Największa zmiana dotyczy oczywiście tramwajów, niemniej systematycznie do ruchu wprowadzamy coraz nowocześniejsze autobusy - podkreślił prezydent Jacek Wójcicki, nie kryjąc swojego



Za unijne pieniądze powstanie węzeł przesiadkowy przy dworcu PKP

zadowolenia. - Zależy nam na tym, by gorzowscy pasażerowie podróżowali w coraz lepszych warunkach, licząc jednocześnie, że część mieszkańców docelowo zrezygnuje z samochodów, właśnie na rzecz komunikacji autobusowej - dodał prezydent Wójcicki.

Zarząd województwa przyznał Miejskiemu Zakładowi Komunikacji Miejskiej w Gorzowie Wielkopolskim 1,5

mln zł na zakup dwóch klimatyzowanych autobusów niskopodłogowych z napędem hybrydowym, wyposażonych w udogodnienia dla osób niepełnosprawnych oraz spełniających wymagania normy EURO6d. Pojemność planowanego taboru pasażerskiego to 170 osób. Wartość projektu to 2,6 mln zł, unijne dofinansowanie wynosi 1,5 mln zł.

Gorzowski węzeł przesiadkowy

- To kluczowa inwestycja w ramach organizacji transportu publicznego w naszym mieście - podkreślił prezydent Jacek Wójcicki, komentując pozytywną decyzję zarządu województwa lubuskiego dla dofinansowania budowy węzła w Gorzowie.

Dofinansowanie w kwocie 12,6 mln zł otrzyma zadanie

„Budowa węzła przesiadkowego przy dworcu PKP wraz z przebudową infrastruktury tramwajowej”. Rozpoczęcie prac budowlanych planowane jest jeszcze w tym roku. Według założeń, prace mają potrwać dwa lata. Całkowity koszt projektu to ponad 18,2 mln zł.

Jest już dokumentacja projektowa przebudowy ul. Dworcowej na odcinku około 200 metrów (od ul. Sikorskiego do Składowej) oraz przebudowy placu przed dworcem, budowy zadaszenia węzła przesiadkowego, przebudowy parkingów i torowiska. A także przebudowy sterowania ruchem tramwajowym i sieci trakcyjnej. Wykonawca został wybrany w ramach zapytania ofertowego, a przygotowaniem dokumentacji projektowej zajęło się Biuro Projektowe Tomasz Romankiewicz.

Wyremontujemy „Jedynkę”

6,6 mln zł otrzymał projekt pt. „Modernizacja budynku Szkoły Podstawowej nr 1 w Gorzowie Wlkp.”. W ramach prac budowlanych w „Jedynce” przewidziano renowację okien i stropów, remont

części sal lekcyjnych oraz pokoju dyrektora i administracji, wzmocnienie fundamentów przez palowanie i podbite, modernizację instalacji elektrycznej i sanitarnej oraz wymianę pokrycia dachu.

Ponadto zadanie obejmuje zagospodarowanie terenu przy szkole. Roboty polegają na montażu jednego zestawu sprawnościowego - placu zabaw (urządzenia sportowo - gimnastycznego, ścieżki sprawnościowej, zestawu typu ścieżka zdrowia) wraz z wykonaniem nawierzchni bezpiecznych z piasku, a także na zamocowaniu sześciu stalowych stelaży, przeznaczonych pod wystawę o historii szkoły. Całkowita wartość projektu to 7,9 mln zł.

MCK w centrum Gorzowa

8,9 mln zł to kwota dofinansowania jaką zarząd województwa przyznał na modernizację i wyposażenie obiektów kultury w Gorzowie Wlkp. Środki zostaną przeznaczone na adaptację dawnej Przemysłowki na siedzibę Miejskiego Centrum Kultury, modernizację Filii nr 3 Biblioteki oraz doposażenie Miejskiego Ośrodka Sztuki. Całkowity koszt projektu to 20,6 mln zł.

DARIUSZ WIECZOREK,
MARTA LIBERKOWSKA

WYDZIAŁ PROMOCJI I INFORMACJI
UM

Gorzowski 2020 rok w liczbach

Zuzanna i Szymon to najpopularniejsze imiona w 2020 roku w Gorzowie.

W roku 2020 najczęściej nadawanymi imionami dla dziewczynek były: Zuzanna 29, Pola 26, Lena 25, Julia 22, Hanna 21, Maria i Maja 20, Zofia 19, Oliwia 18. Najmniej nadawano imiona żeńskie takie jak: Daniela, Estera, Roksana, Lili.

Wśród chłopców najczęściej wybierano imiona: Szymon 27, Jan 25, Mikołaj 24, Antoni i Aleksander 22, Filip 20, Franciszek, Stanisław, Leon, Wiktor i Oliwier 17 razy. Najmniej nadawane imiona dla chłopców to: Jarema, Jonasz, Szczepan, Borys i Ludwik.

W 2020 roku w USC w Gorzowie sporządzono 1339 aktów urodzeń, w tym 71 dla dzieci urodzonych za granicą. Sporządzono 26 aktów dla dzieci martwo uro-



W 2020 roku w USC w Gorzowie sporządzono 1339 aktów urodzenia oraz 2082 akty zgonu

dzonych. Urodziło się 590 dziewczynek i 639 chłopców.

W 2020 roku zawarto 293 małżeństwa, w tym 23 małżeństwa zawarte za gra-

nicą. 6 małżeństw było zawartych przed kierownikiem USC poza lokalem USC. 123 małżeństwa zawarto przed kierownikiem USC. 141 małżeństw zawarto w sposób określony w art. 1 § 2 i 3 KRO. Ponadto zarejestrowano 33 małżeństwa z obcokrajowcem.

Zarejestrowano 190 wzmianek o rozwodzie oraz 483 wzmianek o zgonie współmałżonka.

Na powrót rozwiedzonego małżonka do nazwiska zdecydowało się 37 osób. 57 par odwołało lub nie dotarło w wyznaczonym dniu na ceremonię zwania związku małżeńskiego.

W 2020 roku w Urzędzie Stanu Cywilnego w Gorzowie Wielkopolskim sporządzono 2082 aktów

zgonu w tym 4, które nastąpiły za granicą. Dokonano 706 migracji aktów archiwalnych.

Przedział wiekowy osób zmarłych: 0-20 lat - 62 akty, 21-40 - 124 akty, 41-60 - 420 aktów, 61-70 - 600 aktów, 71-100 - 1 491 aktów, powyżej 100 lat - 3 akty.

Wydano 92 decyzje o zmianie imienia i nazwiska.

Pomimo pandemii w 2020 roku zorganizowano uroczystość jubileuszu 50-letniego pożycia małżeńskiego, na której 75 parom wręczono medale za pożycie małżeńskie. W 2020 roku odbyło się również 11 uroczystości setnej rocznicy urodzin. Jubilatami były same kobiety.

URZĄD STANU CYWILNEGO
W GORZOWIE

Z ostatniej chwili:

Zarząd województwa lubuskiego podjął decyzję o zwiększeniu wartości dofinansowania w sześciu projektach realizowanych przez Gorzów w ramach ZIT MOF Gorzów. Łączna wartość dodatkowego wsparcia, m.in. na węzeł przesiadkowy, modernizację obiektów kultury i remont „Jedynki”, to 3,1 mln zł. Zwiększenie dofinansowania wynika z korzystnego kursu euro, co przedkłada się na wysokość wolnych środków z puli dedykowanej dla ZIT MOF Gorzów. Wartość dostępnej alokacji wyliczono na podstawie limitu Ministerstwa Finansów obowiązującego w styczniu 2021 r.

REDAKCJA

KALENDARIUM
Luty 2021

● 1.02.
1980 r. - podczas balu sportowca ogłoszono wyniki plebiscytu „Gazety Lubuskiej” i WKFiT UW w Gorzowie na 10 najlepszych sportowców woj. gorzowskiego w 1979, I miejsce zajął Lech Piasecki (Orleńta Gorzów - kolarstwo), II - Edward Jancarz (1946-1992) (Stal Gorzów - żużel), III - Piotr Diaconów (Stilon Gorzów - piłka wodna), IV - Andrzej Nuckowski (Orleńta Gorzów - łucznictwo), V - Marek Osiński (1956-2012) (Stilon Gorzów - piłka wodna), VI - Ireneusz Witkowski (AZS Gorzów - lekkoatletyka), VII - Małgorzata Zgórska (Orleńta Gorzów - łucznictwo), VIII - Grzegorz Hajkowicz (Orleńta Gorzów - zapasy), IX - Jerzy Górski (AZS Gorzów - piłka ręczna), X - Mieczysław Woźniak (Stal Gorzów - żużel); w piątce najpopularniejszych trenerów roku znaleźli się: Piotr Batkowski (Orleńta - zapasy), Ryszard Łuczak (Stilon - piłka wodna), Lech Macierzyński (MKK Choszczno - kajakarstwo), Gerard Nowak (1934-1999) (Orleńta - łucznictwo) i Józef Szymański (LKS POM Strzelce Kraj. - kolarstwo).
1984, Benedykt Wiśniewski został prezydentem Gorzowa; funkcję tę pełnił do grudnia 1985 r.
1992, wprowadzono obowiązkowe oznakowanie gorzowskich taksówek w postaci żółtych naklejek na drzwiach z numerem i herbem miasta.
1993, otwarta została pierwsza stołówka dla ubogich zorganizowana przez Gorzowskie Stowarzyszenie Pomocy Bliźniemu im. Brata Krystyna.
● 2.02.
1844, założone zostało Towarzystwo Upiększania Miasta, które działało do 1941, przyczyniając się walcnie do powstania licznych parków i zieleńców.
● 3.02.
1979, zarząd KS AZS AWF powołał sekcję wioślarską; są to początki wyczynowego sportu wioślarskiego w Gorzowie.
1934, ur. Ryszard Świątkiewicz, nauczyciel, b. siatkarz i trener siatkarzy Unii i Stilonu (1969-1972, 1985-1987), zm. w 1998 r.
● 4.02.
2011, pożar strawił osiem metalowych bud i pięć kramów na targowisku przy głównej bramie cmentarnej na ul. Żwirowej.
1952, ur. Bolesław Proch, b. żużlowiec gorzowski (1977-1980), zm. w 2012 r.
● 5.02.
1864, ur. Karl Teike, niem. muzyk i kompozytor, b. polikant w Ulm i Poczdamie, od 1909 r. - woźny powiatowy w Gorzowie, autor marszów, m.in. popularnego w świecie marsza „Alte Kameraden”, zm. w 1922 r.

Szpital w czasach koronawirusa SARS-CoV-2

Miniony rok upłynął w gorzowskim szpitalu pod znakiem pandemii.

W marcu 2020 r. - dokładnie 12 marca - na polecenie wojewody lubuskiego (na bazie budynków Wielospecjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego) utworzony został Jednoimienny Szpital Zakaźny zlokalizowany w zespole szpitalnym przy ul. Walczaka. Kilka miesięcy później (od 19 października), także decyzją wojewody - pacjenci byli przyjmowani również w zespole szpitalnym przy ul. Dekerta.

Pierwszym pacjentem leczonym w jednoimiennym Szpitalu Zakaźnym był 22-letni mieszkaniec Gorzowa; spędził w nim 12 dni.

Najstarszym wyleczonym pacjentem był 92-letni gorzowianin.

Średnia wieku hospitalizowanych w oddziałach zakaźnych przy ul. Walczaka wynosiła 60,2 lat. Na Oddziałach Intensywnej Terapii - średnia wieku to 65,3 lat, zaś w oddziałach zakaźnych zlokalizowanych przy ul. Dekerta - 65,7 lat.

Od 16 marca do końca grudnia ubr. leczonych było 1627 pacjentów; 1169 w zespole przy ul. Walczaka. Najwięcej pacjentów (583 osób) było w listopadzie 2020r.

W analogicznym okresie na oddziałach intensywnej terapii leczonych było 135



Jednoimienny Szpital Zakaźny powstał w zespole szpitalnym przy ul. Walczaka

osób (najwięcej w listopadzie 2020 r. - 56 chorych)

W tym czasie wyleczonych/wypisanych ze szpitala zostało 1167 pacjentów.

Od czasu utworzenia Jednoimiennego Szpitala Zakaźnego w Gorzowie do końca 2020 r. w gorzowskim szpitalu zmarło 248 osób; 80 osób z nich było pacjentami na OIOM.

Średnio na oddziałach zakaźnych Wielospecjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego w Gorzowie pacjenci

przebywali około 9 dni; najdłużej trwało leczenie w Oddziale Anestezjologii i Intensywnej Terapii - około 10 dni. Najdłuższy średni czas pobytu zanotowany został w sierpniu i było to ponad 16 dni leczenia.

Od czasu powołania Jednoimiennego Szpitala Zakaźnego w Wielospecjalistycznym Szpitalu Wojewódzkim w Gorzowie Wlkp. wykonano 40 561 testów na obecność koronawirusa SARS-CoV-2, z czego 36 578 zos-

tało przebadanych w Pracowni Mikrobiologii gorzowskiego szpitala. W ponad 9538 (26,08%) pobranych próbek stwierdzono obecność koronawirusa SARS-CoV-2.

- Wybuch pandemii spowodował, że musieliśmy się uczyć tego, jak prowadzić szpital, aby spełniał swoją rolę i służył pacjentom, a jednocześnie zachować wszystkie niezbędne bardzo rygorystyczne wymogi

sanitarne-epidemiologiczne - mówi Jerzy Ostrouch, prezes Wielospecjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego w Gorzowie Wlkp. - Dziś możemy śmiało powiedzieć, że nie tylko udało się nam skutecznie prowadzić działalność leczniczą - bo przecież pracowały nasze oddziały, poradnie i zakłady diagnostyczne - ale też z powodzeniem realizowaliśmy ambitny plan inwestycyjny. A.W.

Biskup spoczął w katedrze

10 stycznia 2021 r., w wieku 88 lat, zmarł Adam Dyczkowski, biskup senior diecezji zielonogórsko-gorzowskiej.

Podczas sesji Rady Miasta w 2008 roku, gdy mu nadawano tytuł honorowego obywatela naszego miasta, powiedział: - Gorzów jest dla mnie najważniejszy z całej diecezji. Tu się zaczynała jej organizacja, tu spoczywa biskup Wilhelm Pluta, tu przeżyłem najradośniejsze chwile życia, goszcząc Jana Pawła II. Z Gorzowem nie rozdzieli mnie nawet śmierć. Będę przecież pochowany w katedrze - dodał, co wywołało owację.

Święcenia kapłańskie przyjął w 1957 roku. W 1993



Biskup A. Dyczkowski był honorowym obywatelem Gorzowa

roku został przez Jana Pawła II powołany na urząd biskupa zielonogórsko-gorzowskiego. Funkcję sprawował do końca 2007 r., gdy przeszedł na emeryturę. Biskup Adam Dyczkowski był zaangażowany w proces tworzenia województwa lubuskiego i porozumienie paradyśkie, które dały podwaliny pod nowe województwo.

Biskup Dyczkowski był honorowym obywatelem Gorzowa Wielkopolskiego, a także Pszczewa, Głogowa

i Zielonej Góry. W 2011 roku otrzymał tytuł doctora honoris causa Uniwersytetu Zielonogórskiego, a w 2018 roku został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Biskup A. Dyczkowski spoczął w gorzowskiej katedrze, gdzie pochowany został tego samego dnia również biskup Antoni Stankiewicz, który znaczną część swego życia spędził w Watykanie, a był związany z naszym miastem.

WYDZIAŁ PROMOCJI I INFORMACJI UM

ECHOGORZOWA.PL

echogorzowa.pl, www.echogorzowa.pl
Redakcja
ul. Garbary 9, 66-400 Gorzów Wlkp., tel. 724 440 444
redakcja@echogorzowa.pl

Redaktor naczelny: Robert Borowy
Skład: Marcin Klimczak - www.starparts.pl
Druk: Polskapiresse sp. z o.o.
Drukarnia Poznań, ul. Malwowa 158

Wydawca:
Metalplast-Meblopol Zofia Wiernicka
Garbary 9, 66-400 Gorzów Wlkp.
tel. 724 555 549

Poglądy zewnętrznych autorów tekstów, w tym prowadzących blogi na portalu echogorzowa.pl, nie są tożsame z poglądami redakcji echogorzowa.pl. Każde przesłanie wiadomości do redakcji echogorzowa.pl, czy to w formie elektronicznej czy papierowej, jest równoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych.

Złota rączka czeka na zgłoszenia seniorów

Ruszyła kolejna edycja programu „Złota rączka dla seniora” w Gorzowie.

Program polega na zapewnieniu nieodpłatnej pomocy gorzowskim seniorom w drobnych, domowych naprawach. Miasto na ten cel przeznaczyło 70 tys. zł. Bezpłatną pomocą zajmie się, trzeci rok z rzędu, fundacja „Pozytywka”. Zakres pomocy obejmuje drobne naprawy, niewymagające natychmiastowej interwencji, specjalistycznej wiedzy lub uprawnień, jak również niepociągające za sobą dużych nakładów finansowych. Naprawy wykonywane będą wyłącznie w lokalu zamieszkiwanym przez osobę ubiegającą się o pomoc.

W ramach projektu wykonane mogą być następujące usługi i naprawy:

1) wymiana żarówek, obsadzenie lub wymiana wyrwanych gniazdek lub włączników elektrycznych;

2) wymiana uszczelki w przeciekających kranach; wymiana pokręteł baterii, słuchawek, węży prysznicowych; przetkanie udrożnienie



Program polega na nieodpłatnej pomocy seniorom w drobnych naprawach

odpływu; wymiana wężyków, syfonu, spłuczki, rury spiro lub deski sedesowej; uszczelnienie silikonem przecieków przy wannie, brodziku, umywalce; odpowietrzenie kaloryferów;

3) montaż lub wymiana zamków, zasuw, łańcuchów drzwiowych, wymiana klamek, regulacja opadniętych drzwi; montaż i demontaż mebli;

4) naprawa lub wymiana zawiasów drzwi, drzwiczek, szaf; wymiana lub naprawa gałek i uchwytów; sklejenie lub skrócenie zepsutych krzeseł, stolików, mebli;

osadzenie kołków rozpory pod szafki, półki, obrazy; wieszanie: obrazów, luster, rolet, półek, karнизy, suszarek łazienkowych; uszczelnienie okien, drzwi;

5) uzupełnienie drobnych ubytków, szczelin w tynku, podmalowanie ubytków.

Uprawnieni do skorzystania z pomocy są mieszkańcy Gorzowa Wielkopolskiego powyżej 60 roku życia, nieaktywni zawodowo, ze szczególnym uwzględnieniem osób samotnych i niepełnosprawnych.

Potrzeby można zgłaszać realizatorowi programu - Fundacji „Pozytywka” telefonicznie (pod numerem 95 722 44 77 lub 661 730 003 od poniedziałku do piątku w godz. 9.00-13.00) lub mailowo zlotaraczkapozytywka@onet.pl {mailto:zlotaraczkapozytywka@onet.pl}

DARIUSZ WIECZOREK
WYDZIAŁ PROMOCJI I INFORMACJI UM

KALENDARIUM Luty 2021

6.02.

1914, ur. Kazimierz Wnuk, oryginał, bohater wielu anegdot, w których występuje jako Szymon Gięty, zm. w 1998 r. 1936, ur. Henryk Kempa, b. prezydent miasta (1973-1978), b. sekretarz KMiP PZPR (1972-1973, 1978-1979), b. prezes WZSP (1981-1990), pierwszy prezes Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, zm. w 2004 r. 1853, zm. Theodor Heinrich Otto Burchardt (81 l.), światowej sławy sadownik, twórca renety landsberskiej, b. syndyk miejski (1804-1834) i notariusz (1815-1845).

1999, zm. Gerard Nowak (65 l.), b. tenisista stołowy, trener i działacz łuczniczy, b. prezes OZTS i SKŁ OSiR.

7.02.

1965, hokeiści gorzowscy wystąpili po raz pierwszy w barwach Stilonu, remisując na własnym lodowisku ze Spartą Złotów 1:1; na przebieg meczu wpływ miała... odwilt.

8.02.

1957, na Wydziale Włókienniczym GZWSz (Stilon) wybuchł jednodniowy strajk, powołano 31-osobowy komitet strajkowy, który wysunął 19 postulatów, w tym żądanie podniesienia płac zasadniczych, ograniczenie zatrudnienia wśród pracowników umysłowych i postulaty socjalne; strajk zakończył się porozumieniem.

1980, ukazał się pierwszy numer tygodnika „Ziemia Gorzowska”; ukazywał się do 2009 r.

1987, zm. Papisza, wł. Bronisława Wajs (79 l.), poetka cygańska, przez wiele lat związana z Gorzowem (1953-1981).

9.02.

1898, zawarta została umowa ze spółką „Helios” w Kolonii-Ehrenfeldt na budowę trakcji tramwajowej i elektryfikację miasta; tramwaje ruszyły 29.07.1899 r., a 1.09. popłynął pierwszy prąd do mieszkań.

10.02.

1929, w Gorzowie zanotowano 29,2 stopnie mrozu; najniższa temperatura w historii miasta. 1971, z powodu niskich wypłat w „Silwanie” zastrajkowały tkaczki; był to drugi strajk w historii tego zakładu.

1972, minister gospodarki komunalnej zezwolił przeznaczyć teren poniemieckiego cmentarza w Gorzowie na cele użyteczności publicznej; w latach 1972-74 powstał tu Park Kopernika.

11.02.

2008, rozpoczął się rozruch fabryki monitorów tajwańskiego koncernu TPV Displays Polska.

12.02.

1958, Zenon Bauer został przewodniczącym Prezydium MRN w Gorzowie; swą funkcję głowy miasta pełnił 11 lat.

2005, zm. dr n. med. Wiesław Greczner (80 l.), twórca gorzowskiej ortopedii.

Hala, o której mówimy od lat

Budowę hali sportowo-widowiskowej można wreszcie rozpocząć.

Stosowne umowy podpisano w styczniu 2021 r., a plac budowy w parku Słowiańskim został już przekazany wykonawcy, którym jest Budimex. Hala powinna być gotowa za 24 miesiące. W imieniu miasta inwestycję realizuje CSR Słowianka, które będzie też halą zarządzać.

Hala będzie służyć przede wszystkim gorzowskim sportowcom, ale będzie też



W parku Słowiańskim w sąsiedztwie Słowianki powstanie hala sportowo-widowiskowa na 5 tysięcy miejsc siedzących

miejscom organizacji dużych widowisk kulturalnych oraz miejskich uroczystości. Będzie miała ponad 5 tysięcy stałych miejsc siedzących, ale można je będzie czasowo zwiększyć do 6 tysięcy. Budowa hali to koszt blisko 90 milionów złotych. 22 miliony to dotacja rządowa, a 6 milionów przekazał samorząd województwa.

RED.

Decyzje o wysokości podatku od nieruchomości

Pracownicy Urzędu Miasta roznoszą decyzje ustalające wysokość podatku od nieruchomości oraz rolnego w 2021 r.

Prosimy, aby kontakt z pracownikami roznoszącymi decyzje był ograniczony do odbioru wydrukowanej informacji. Wszelkie wątpliwości co do treści decyzji będą

wyjaśniane telefonicznie (95 7355 503 lub 622) lub mailowo (wpo@um.gorzow.pl) Z powodu pandemii kontakt pracowników doręczających decyzje z

mieszkańcami naszego Miasta będzie przebiegać z zachowaniem reżimu sanitarnego. Pracownicy będą przestrzegali obowiązujących zasad, takich

jak zakrywanie ust i nosa, bezpieczny odstęp, dezynfekcja rąk i długopisów.

Osoby odbierające decyzję, proszone są o pod-

pisywanie potwierdzeń odbioru własnymi długopisami.

EWA SMONIEWSKA
WYDZIAŁ PODATKÓW I OPIAT UM
W GORZOWIE

KALENDARIUM
Luty 2021

● 13.02.
1913, ur. Andrzej Wołkowski, długoletni reprezentant Polski w hokeju na lodzie, olimpijczyk, ostatni trener hokeistów Stilonu (1974-1982), zm. w 1995 r.

14.02.
1889, ur. Bekir Radkiewicz, imam, pionier miasta, duchowy przywódca ludności tatarskiej w Gorzowie, zm. w 1987 r.

● 15.02.
1990, powstał Gorzowski Klub Sportowy „Gorzovia”.

1993, kuria gorzowska przeniesiona została do Zielonej Góry.

● 17.02.
1986, rozpoczęła działalność Szkoła Podstawowa nr 20 przy ul. Szarych Szeregów 7.

1927, ur. Władysław Klimek, nauczyciel działacz katolicki, radny RM I kadencji, założyciel i wieloletni prezes oddziału Polskiego Związku Esperantystów oraz Klubu Inteligencji Katolickiej, działacz „Wspólnoty Polskiej”, zm. w 2000 r.

1989, zm. Sylwester Koralewski (67 l.), znany gorzowski fotograf, pionier miasta.

● 18.02.
1946, filmem „Pastuch i świniarka” zainaugurowana została działalność kina „Capitol” przy ul. Wawrzyniaka; istniało do końca 1979 r.

1920, ur. Józef Prońko, pionier miasta, żużla i gorzowskiej motoryzacji, ojciec znanych muzyków, zm. w 2013 r.

● 19.02.
1945, do Gorzowa dotarła 18-osobowa grupa kolejarzy węgrowskich, którą przyprowadził Władysław Zastrożny.

2005, po 40 latach funkcjonowania zamknięty został kultowy bar mleczny „Agata” przy Wodnej 14; placówka została przeniesiona na ul. Sikorskiego.

1925, ur. Kazimierz Wiśniewski, pionier miasta i gorzowskiego żużla, były żużlowiec Unii, Gwardii (1949-1950) i Stali (1950-1956), następnie trener, twórca szkółki żużlowej, nauczyciel Jancarza, Migosia, Padewskiego, Działkowiaka, zm. w 1996 r.

● 20.02.
1976, z nowego dworca PKS odjechały pierwsze autobusy; przeprowadzka dworca z ul. Strzeleckiej odbyła się w nocy.

2004, otwarte zostało Centrum Logistyczne firmy „Mars” w Gorzowie; baza urządzona została na terenie „Zrembu”, a firma „Mars”, założona w 1991 r. przez Zdzisława Kałamagę posiadała w tym momencie 270 salonów sprzedaży w zachodniej Polsce i zatrudniała 1600 osób.

● 21.02.
1987, zm. Irena Dowgielewicz (69 l.), pisarka gorzowska, autorka m.in. tomiku „Stadion dla biedronki” i powieści „Krajobraz z topolą”.

Inneko zbiera także elektrośmieci

Co zrobić, jeżeli w domu zalega stara lodówka, pralka, zmywarka lub komputer?

Wystarczy jeden telefon i sprawa zostanie szybko i sprawnie załatwiona przez pracowników gorzowskiego INNEKO.

Na zużyty lub popsuty sprzęt elektryczny i elektroniczny mówimy potocznie „elektrośmieci”. Są to wszystkie nieużywane z różnych powodów urządzenia działające kiedyś na prąd lub na baterie. Ze względu na ochronę środowiska, ale i bezpieczeństwa własnego i innych nie wolno tych urządzeń wyrzucać do zwykłego pojemnika, porzucać w lesie ani w przydrożnych rowach czy komuś do ogródka. Grozi za to kara grzywny nawet do pięciu tysięcy złotych.

Jedynym najrozsądniejszym rozwiązaniem jest przekazanie go do firmy, która posiada stosowne decyzje i jest zobowiązana do przyjmowania tego rodzaju odpadów. Gwarantuje to, że sprzęt taki zostanie potem właściwie zagospodarowany i nie trafi na dzikie składowisko powodując zanieczyszczenie środowiska - mówi nam **Mariusz Sztuba**, prowadzący Punkt Zbierania Zużytego Sprzętu Elektrycznego i Elektronicznego w gorzowskim INNEKO.

Warto pamiętać też o tym, że jeżeli kupujemy nowe urządzenie, to możemy zwrócić sprzedawcy stare, ale odbywa się to na zasadzie „jeden do jednego”. Natomiast inaczej to wygląda z drobnymi elementami takimi przykładowo jak baterie, żarówki, małe urządzenia. Je możemy wrzucać do specjalnych pojemników bez ograniczeń wszędzie tam, gdzie są one wystawione.



Odbiór elektroodpadów jest bezpłatny dla wszystkich mieszkańców Gorzowa

- Najważniejsze w tym wszystkim, żeby nie wyrzucać niczego do zwykłych pojemników z odpadami komunalnymi i warto o tym stale mówić - przestrzega pan Mariusz.

Jak można dzisiaj łatwo, szybko i właściwie pozbyć się starych urządzeń zalegających w mieszkaniu, piwnicy lub komórki?

W Gorzowie największy punkt odbioru zużytego sprzętu znajduje się przy ul.

Teatralnej 49, na terenie siedziby miejskiej spółki INNEKO. Stary sprzęt jest tam przyjmowany codziennie przez całą dobę od poniedziałku do niedzieli włącznie. Jeżeli mamy do oddania lodówkę, pralkę lub inny gabarytowy sprzęt elektryczny i nie mamy możliwości dostarczenia tych odpadów do punktu zbierania, to wystarczy zadzwonić do INNEKO i umówić się na odbiór przez pracowników tejże firmy. Od-

45 centymetrów, to również odbierzemy - wyjaśnia Mariusz Sztuba.

Na odbiór sprzętu można się umówić poprzez zgłoszenie pod numer telefonu 95 722-58-58 lub wysłanie maila na biuro@inneko.pl {mailto:biuro@inneko.pl}. Zlecenia należy zgłaszać od poniedziałku do piątku w godz. 7.00-15.00. Odbiory są realizowane dwa razy w tygodniu - w każdy poniedziałek i czwartek. Czas oczekiwania na odbiór wynosi od 2 dni do 2 tygodni, w zależności od ilości zgłoszeń.

- W 2020 roku zebraliśmy w punkcie na ul. Teatralnej 203 tony, co było dobrym wynikiem, biorąc pod uwagę, że przez dwa miesiące mieliśmy wyłączoną działalność ze względu na obostrzenia sanitarne - kontynuuje Mariusz Sztuba. - Przed dwoma laty było to 228 ton. Ponadto na instalacji komunalnej wysortowujemy rocznie ok 15-20 ton małych sprzętów, ponieważ nadal zdarza się, że te odpady są nieślusnie umieszczane w pojemnikach na odpady komunalne. Jeżeli zwrócimy uwagę, że gorzowianie wytwarzają około 550-600 ton elektrośmieci oraz to, że na rynku działa kilka podmiotów, to nasz wynik nie jest zły. Na pewno świadomość naszych mieszkańców, żeby nie wyrzucać elektroodpadów, gdzie popadnie z każdym rokiem rośnie - kończy.

Dodajmy jeszcze, że w przypadku odbioru sprzętu u klienta dany sprzęt ze względów epidemiologicznych musi zostać wystawiony z mieszkania lub domu.

ROBERT BOROWY

r e k l a m a

AWARIA KOMPUTERA?

Application Failed

732 863 648

POGOTOWIE KOMPUTEROWE

Kolejne miliony czekają na przedsiębiorców

Ze Stanisławem Owczarkiem, dyrektorem Zachodniej Izby Przemysłowo-Handlowej, rozmawia Tomasz Molski

- Rok 2020 już za nami. Jaki to był czas dla Izby?

- Wyjątkowy. Pod wieloma względami. Z jednej strony trudny ze względu na sytuację związaną z pandemią. Wszyscy musieliśmy się uczyć funkcjonowania w nowej rzeczywistości, a część naszych planów zmuszeni byliśmy przełożyć na lepsze czasy. Z drugiej - bardzo owocny dla ZIPH. Mimo niesprzyjających okoliczności udało się nam przejść przez okres pandemii dość suchą stopą. Cały nasz Izbowy zespół wykonał kawał dobrej roboty, dzięki której dziś jesteśmy w miejscu, w którym możemy z optymizmem spoglądać w przyszłość.

- Porozmawiajmy więc o tej „dobrej robocie”. W jaki sposób Izba wspierała przedsiębiorców w tym trudnym czasie?

- Pamiętam, że w dniu, w którym w Lubuskim pojawił się pierwszy pacjent chory na COVID organizowaliśmy w Gorzowie pierwszą edycję Marketing Day z udziałem Pawła Tkaczyka. Na dodatek 1 marca rozpoczęliśmy drugą edycję Lubuskich Bonów Szkoleniowych. Chwilę później zaczęły się obostżenia, które storpedowały wiele naszych planów. Nie mniej niemal od razu zdecydowaliśmy, że najważniejszym zadaniem - jakie stoi przed Izbą w tej trudnej sytuacji - jest pomoc przedsiębiorcom. Dlatego też powołaliśmy Izbowy Sztab Kryzysowy, którego zadaniem stała się analiza obszarów, w których w pierwszej kolejności winna być kierowana pomoc dla firm. Wspólnie z kancelariami zrzeszonymi w ZIPH powołaliśmy również Zespół Prawny, który bezpłatnie doradzał przedsiębiorcom w kwestiach niecierpiących zwłoki. Nawiązaliśmy również współpracę z instytucjami, które zajmowały się redystrybucją wsparcia. Organizowaliśmy wspólnie kilkanaście spotkań on-line, podczas których przekazywaliśmy wiedzę, w jaki sposób pozyskiwać wsparcie, czy korzystać z ulg dostępnych w poszczególnych Tarczach Antykryzysowych.

- Jak w czasie COVID przebiegała realizacja projektów ze środków unijnych?



St. Owczarek: Ze względu na pandemię musieliśmy zrewidować nasze plany i podejść nieco inaczej do poszczególnych projektów

- Ze względu na pandemię musieliśmy zrewidować nasze plany i podejść nieco inaczej do poszczególnych projektów. Przykładowo w ramach Lubuskich Bonów Szkoleniowych pozwoliliśmy na udział w szkoleniach i studiach on-line, gdyż przez długi czas tylko taka forma była dopuszczalna. Ubiegły rok zamknęliśmy liczbą 555 osób, które uzyskały w sumie wsparcie na kwotę ponad 4 milionów złotych. Osobną historią jest realizacja programu modernizacji kształcenia zawodowego, gdzie mieliśmy do zrealizowania szkolenia oraz staże i praktyki dla uczniów lubuskich szkół zawodowych. Musieliśmy przeorganizować formy i metody pracy oraz cały harmonogram działań. Ostatecznie w lipcu i sierpniu udało się zorganizować blisko 800 praktyk w firmach oraz przeszkolić około 1500 uczniów. Z satysfakcją mogę powiedzieć, że wypełniliśmy nasz plan w 100%, choć wymagało to od nas nieco więcej pracy niż w poprzednich latach. W lipcu rozpoczęliśmy również realizację kolejnego dużego zadania zleconego przez Urząd Marszałkowski, jakim są Lubuskie Bony Wsparcia Przedsiębiorców...

- ... które wzbudziły wiele kontrowersji.

- To prawda. Tam, gdzie mamy do czynienia z dystrybucją pieniędzy, zawsze pojawiają się kontrowersje.

Województwo lubuskie nie było pierwszym regionem, w którym postanowiono pomóc przedsiębiorcom dotkniętym pandemią. W wyniku medialnego zamieszania podjęto decyzję o ponownym uruchomieniu naboru. Skutek tego jest taki, że zamiast szybkiej pomocy mamy „niekończącą się opowieść”. Na szczęście na początku grudnia zakończyliśmy prace nad oceną 670 wniosków covidowo - innowacyjnych i opublikowaliśmy listę rankingową. Zdaję sobie sprawę, że wielu przedsiębiorców nie jest pocieszonych wynikami konkursu, ale pula środków jest niestety ograniczona. Wykonaliśmy w ciągu ostatnich 6 miesięcy tytaniczną pracę, aby zdążyć przed końcem roku z oceną nadesłanych aplikacji. Odbiło się to na naszych pracownikach, którzy nie mieli w tym roku normalnego okresu urlopowego. Wyszliśmy jednak wspólnie z założenia, że warto podjąć trud i pomóc ciężko doświadczonym przez pandemię firmom. Jesteśmy przekonani, że każdy uratowany biznes - za którym stoją konkretne miejsca pracy - wart jest jak największego wysiłku. Niebawem rozpoczniemy podpisywanie umów z przedsiębiorcami i dystrybucję środków, nad którymi później przez okres trzech lat będziemy czuwać.

- Rozpoczęły się prace związane z powstaniem

Regionalnego Centrum Przedsiębiorczości. Stworzenie takiego miejsca to chyba najważniejsze w dziejach Izby wyzwanie?

- Historia związana ze staraniami Izby o pozyskanie Willi Jaehnego dorobiła się „długiej brody”. Już w 2006 roku Skarb Państwa przekazał budynek na rzecz miasta z przeznaczeniem na Regionalne Centrum Przedsiębiorczości. Zanim doszliśmy do dzisiejszego stanu, po drodze pojawiły się inne pomysły miasta na zagospodarowanie obiektu. Dopiero po decyzji radnych i prezydenta Jacka Wójcickiego w 2018 roku kupiliśmy Willę i staliśmy się właścicielami obiektu. Kiedy już go kupiliśmy z bonifikatą od miasta, rozpoczęliśmy starania o środki na odrestaurowanie. Chcemy bowiem przywrócić budynek do czasów jego świetności z lat 1945-1949, kiedy - i tu wspominam o dalszej historii - działała w willi ekspozytura Poznańskiej Izby Przemysłowo-Handlowej. To w tym miejscu odbywały się także pierwsze w powojennym Gorzowie wystawy gospodarcze. W końcu w ubiegłym roku udało się, za co serdecznie dziękuję zarówno władzom województwa, jak i Gorzowa. W październiku 2020 podpisaliśmy umowę z wykonawcą, który na początku listopada rozpoczął prace związane z rewitalizacją tego miejsca. Liczymy,

że w grudniu tego roku będziemy wprowadzać się do nowej siedziby.

- W jaki sposób powstanie centrum zdeterminuje rozwój Izby?

- Regionalne Centrum Przedsiębiorczości otworzy nam nowe spektrum możliwości, których do tej pory z wielu względów nie mogliśmy urzeczywistnić. Od kilku lat znaczenie Izby rośnie ze względu na rozwój poszczególnych usług dla przedsiębiorców. Już 3 lata temu nasze możliwości lokalowe wyczerpały się. Trudno myśleć o rozwoju, kiedy salę konferencyjną trzeba spożytkować na biura, dla nowych pracowników. Stąd też kilka naszych pomysłów czeka cierpliwie w biurku. Dysponowanie nowym, większym budynkiem pozwoli nam je urzeczywistnić. Niemniej nie chciałbym dziś zdradzać wszystkich naszych planów. Mogę jedynie zapewnić, że będzie to znacząca zmiana, która pozwoli nam objąć wsparciem jeszcze większą rzeszę przedsiębiorców.

- Czego w najbliższym czasie mogą spodziewać się przedsiębiorcy ze strony Izby?

- Przed nami podpisywanie umów i dystrybucję środków w ramach Lubuskich Bonów Wsparcia Przedsiębiorców. Działanie to obejmie ponad 150 lubuskich firm. Kolejne 5 milionów będzie do zdobycia w ramach rozpoczynającej się na przełomie lutego i marca trzeciej edycji Bonów na Innowacje. To środki dla przedsiębiorców z naszego regionu, którzy chcą rozwijać nowe technologie i prowadzić prace badawcze. Cały czas Izba ma do dyspozycji 6,7 miliona złotych w ramach Lubuskich Bonów Szkoleniowych, gdzie firmy mogą pozyskiwać środki na dokształcanie pracowników. Naszą działalność w tym roku rozpoczniemy tradycyjną Gospodarczą Inauguracją Roku. Na wiosnę planujemy również drugą edycję Marketing Day oraz start konkursu Lubuski Lider Biznesu. Od czerwca do września zostaną zorganizowane praktyki i staże dla uczniów lubuskich szkół, a w grudniu mamy nadzieję powitać przedsiębiorców w progach wspomnianego Regionalnego Centrum Przedsiębiorczości.

- Dziękuję za rozmowę.

KALENDARIUM

Luty 2021

● 22.02.

1972, otwarto restaurację z kawiarnią „Kosmos” na osiedlu Słonecznym; był to drugi w mieście lokal z danciem, w latach 90. przebudowany na restaurację „Woroneż”, obecnie Centrum Pomocy Bliźniemu im. Jana Pawła II

2000 r. zm. Edward Szyc (67 l.), b. pracownik „Stilonu”

(1956-1990), od sierpnia do grudnia 1981 r. - dyrektor naczelny, odwołany w stanie wojennym za przeciwstawienie się pacyfikacji zakładu.

● 23.02.

1917, ur. Paweł Macierzewski, kolejarz, pionier miasta, organizator sportu, honorowy prezes GOZPN; był członkiem pierwszej drużyny węgrowskich kolejarzy, grał w pierwszym meczu piłkarskim kolejarzy z Armią Czerwoną, zm. w 1992 r.

● 24.02.

1998, zamknięty został basen odkryty przy ul. Energetyków. 1947, ur. Jerzy Szalbierz, artysta-fotografik, współtwórca i pierwszy fotoreporter tygodnika „Ziemia Gorzowska”, prezes Oddziału ZPAF, zm. w 1997 r.

● 25.02.

1972, z inicjatywy prodziekana doc. dr. Bernarda Woltmanna powstał środowiskowy Klub Uczelniany AZS WSWF z czterema sekcjami: gimnastyczna kobiet i mężczyzn, siatkówki mężczyzn i strzelecka. 1993, odbył się wykład inauguracyjny Uniwersytetu III Wieku w Gorzowie.

● 26.02.

1910, ur. Aleksander Fogiel, b. aktor gorzowski (1979-1980), słynny odtwórca roli Maćka z Bogdańcach w ekranizacji Krzyżaków z 1960 r., zm. w 1996 r.

● 27.02.

1939, Łucjan Lepka (1908-1974), założyciel firmy „Alba”, uzyskał w Poznaniu zezwolenie na działalność przemysłową; jubileusz najstarszej gorzowskiej firmy. 2002, w Gorzowie odbyło się referendum w sprawie odwołania prezydenta Jędrzejczaka, nieważne z powodu niskiej frekwencji (92% za odwołaniem przy 15,5% udziale uprawnionych). 2002, nad Gorzowem i okolicą przeszła kolejna wichura z wyładowaniami atmosferycznymi; wiatr, który sięgał 75 km/h, zerwał dach w centrum miasta, powrywał drzewa; na Ziemię Lubuską przyleciały bociany.

1926, ur. inż. Zbigniew Hańka, organizator i pierwszy dyrektor Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji (1958-1990), zm. w 2012 r.

● 28.02.

1948, ur. Ryszard Major, aktor i reżyser, b. dyrektor Teatru im. Osterwy (1995-2002), zm. w 2010 r.

2012, zm. Marek Osiński (56 l.), b. piłkarz wodny Stilonu, członek kadry narodowej i uczestnik ME juniorów i seniorów (1976, 1977, 1981).



Adresy

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej
ul. Welniani Rynek 3
66-400 Gorzów Wlkp.
tel. 95 7387 101,
95 7387 102
biuro@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl

Program Realizacji Świadczeń Wzajemnych pomaga tym, którzy nie są w stanie spłacić zaległych należności. Więcej na zgm.gorzow.pl/odpracujdlug tel. 95 7387 101 wew.4 odpracujdlug@zgm.gorzow.pl

Zamiana Mieszkań
ul. Welniani Rynek 3
tel. 95 7387 129
bzm@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/
zamiannamieszkania

Administracja Domów Mieszkalnych nr 1
ul. Wyszyńskiego 38
tel. 95 7387 242
adm1@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm1

Administracja Domów Mieszkalnych nr 2
ul. Towarowa 6A
(budynek przychodni I p.)
tel. 95 7387 150
adm2@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm2

Administracja Domów Mieszkalnych nr 3
ul. Armii Polskiej 29
tel. 95 7387 173
adm3@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm3

Administracja Domów Mieszkalnych nr 4
ul. Drzymały 10
tel. 95 7387 194
adm4@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm4

Administracja Domów Mieszkalnych nr 5
ul. Gwiaździsta 4
tel. 95 7387 203
adm5@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm5



Więcej murali i coraz piękniej na osiedlu

Następny mural pojawił się na osiedlu Słonecznym. W planach jest kolejny, który też będzie nawiązywał do historii miasta.



Mieszkańcy osiedla Słonecznego są bardzo dumni ze swoich murali



Pojawiły się pomysły, żeby zabronić parkować przy budynkach, bo samochody zasłaniają murale

- Mieszkańcy już się tak bardzo przyzwyczaili do nowych murali, że dbają o nie, są bardzo dumni. Mało tego, zaczynają nawet prosić, żeby zabronić parkować przy budynkach, bo samochody zasłaniają - opowiada Damian Madaliński, kierownik Administracji Domów Mieszkalnych nr 5, który od kilku lat konsekwentnie zwalcza chuliganów, którzy paćkają po elewacjach. Jak się okazuje skutecznie. - Sam nie przypuszczałem, że do tego stopnia pomysł się przyjmie - mówi.

Dzieje miasta na elewacjach

Najnowszy mural powstał na bloku przy Placu Słonecznym. I jest to kolejny malunek, który nawiązuje do dziejów miasta, do tego, jak ono wyglądało przed II wojną, kiedy po ulicach jeździły stare samochody, na chodnikach stały lampy gazowe. I jest to kolejny malunek, który zachwyca mieszkańców, ale także i innych gorzowian, którzy zachęcają na Słoneczne jeździć jak do galerii pod chmurką.

- Mamy już plany z kolejnym murem, powstanie on w bramie kamienicy przy Alei Konstytucji 3 Maja i też będzie nawiązywał do przeszłości. Mało tego, tam też powstanie muralowa mapa miasta z kodem qr, czyli będzie można sobie go zeskanować i od razu pojawi się mapa, która pokaże lokalizację - mówi Damian Madaliński.

Będzie też coś więcej

Ale Damian Madaliński ma jeszcze jeden ambitny plan. Otóż lada dzień ruszy specjalny kanał youtube, w któ-

rym znajdą się filmiki dokumentujące powstanie niektórych murali na osiedlu Słonecznym. Mało tego, znajdzie się tam też filmik dokumentujący akcję zamalowywania plugawych napisów, które zniszczyły elewację bloku na osiedlu Słonecznym. Damianowi Madalińskiemu udało się wówczas namówić kapitanów Stali Gorzów i Stilonu Gorzów do wspólnej akcji zamalowywania tych napisów. Obecny dwukrotny mistrz świata na żużlu Bartosz Zmarzlik machał pędzlem i jednocześnie

mówił, że miłość do drużyny przejawia się w kibicowaniu, a nie paćkaniu po odnowionych elewacjach. - To dopiero będzie coś, będzie można zobaczyć, ile tak naprawdę pracy kosztuje powstanie takiego malunku. Będzie można znaleźć te filmiki też za pomocą kodów qr - zaznacza kierownik ADM nr 5.

Od początku przychylnym okiem na takie zmiany patrzy dyrekcja Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej, która wspomaga ADM nr 5.

ROCH

ZGM wyremontuje pięć lokali mieszkalnych

Trudna sytuacja spowodowana pandemią koronawirusa nie powoduje przestojów w pracy ZGM.

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej od lat stara się pozyskiwać lokale socjalne, ponieważ w mieście jest sporo lokatorów, którzy mają orzeczone wyroki eksmisyjne za niepłacenie czynszu. Obecnie trwają prace budowlane w pięciu takich lokalach.

W centrum i na Złotego Smoka

Odnawiane lokale usytuowane są przy ul. Złotego Smoka. Są to dwa mieszkania, które mają wspólny korytarz. Pozostałe trzy zlokalizowane są w centrum, czyli przy ul. Stefanii Hejmanowskiej oraz przy ul. Wyszyńskiego.

Ich stan techniczny nie pozwalał aby przekwaterować tam kolejnych mieszkańców, należało wykonać



Remonty pięciu lokali socjalnych odbywają się dość kompleksowo

niezbędne roboty i przygotować lokale do zamieszkania. ZGM w przetargu wybrał dwie lokalne firmy, które właśnie prowadzą tam remonty. Wszystkie prace mają się zakończyć najpóźniej w lutym tego

roku. Jednak z uwagi na szeroki zakres robót, prace będą wykonywane pod ścisłym nadzorem Inspektora Nadzoru Zamawiającego.

Remont lokali z „Ruchu Ludności”

Remonty tych pięciu lokali odbywają się dość kompleksowo. Firmy mają do wykonania między innymi: wykucie ościeżnic drzwiowych, okiennych, parapetów wewnętrznych, kratki wentylacyjnych, demontaż parapetów zewnętrznych, rozbiórka zabudowy drewnianych, listew przypodłogowych, wykonanie gładzi gipsowych na ścianach i sufitach, malowanie farbami emulsyjnymi ścian, sufitów, złożenie posadzki z tworzywa sztucznego bez warstwy izolacyjnej, paneli podłogowych.

Poza tym należy wykonać nową instalację z rur miedzianych, zamontować baterie zlewozmywakowe, umywalkowe, wannowe, natryskowe. Koniecznym

jest także zamontowanie wodomierzy, montaż umywalki, zlewozmywaków, wanien, toalet, kabin natryskowych wykonania nowej instalacji gazowej z rur miedzianych, kuchni gazowych czteropalmowych z piekarnikami, podgrzewacz gazowych wody. Pojawi się także nowa instalacja elektryczna, jeśli trzeba, to zostaną także zastawione piece kaflowe. Po zakończeniu prac firmy prowadzące remonty muszą wywieźć do utylizacji wszystkie elementy, które pozostały po remontach.

Po odbiorze wyremontowanych lokali ZGM przekazuje je w celu zakwaterowania tam lokatorów, którym przysługują takie mieszkania.

ROCH

Prościej będzie dojechać do Santoka

Trzy pytania do Krzysztofa Karwatowicza, sekretarza gminy Santok

- Panie Krzysztofie, Santok od stycznia zmienił zasady komunikacji po gminie?

- Tak, precyzyjnie mówiąc rozszerzył komunikację. Do tej pory z Gorzowa do Santoka jeździły dwie linie miejskie, mianowicie 113 do Wawrowa oraz 122 do Czechowa. I one nadal będą kursować tak, jak kursowały - na tych samych trasach, według tych samych rozkładów oraz w takich samych cenach za bilety. Natomiast od początku tego roku, decyzją wójta Pawła Pisarka, postanowiliśmy rozszerzyć komunikację publiczną i dokładamy nowe linie. Będą to 211, 212, 213, 214 i 215. Przy czym dwie z nich będą komunikować gminę z miastem Gorzów, a trzy



pozostałe są naszymi wewnętrznymi, które będą głównie dowozić dzieci do szkół i przedszkoli, ale także będą dawać skomunikowanie z tymi najważniejszymi liniami. Linie 211 i 212 to są te, które będą przejeżdżały przez całą gminę - a

proszę pamiętać, że mamy układ równoleżnikowy, czyli wschód - zachód. Tak więc od granic gminy Drezdenko będą jechały autobusy przez Lipki Wielkie, Santok, Gralewo, Janczewo, Wawrów i tu novum, będą skręcały w kierunku Osiedla Bermudy, które było do tej pory pozabawione komunikacji miejskiej i do Gorzowa będą wjeżdżały od strony ulicy Walczaka.

- Skąd pomysł na takie rozwiązanie?

- To rozwiązanie daje mieszkańcom gminy Santok 16 par połączeń dodatkowych w dni robocze. Na rozszerzenie kursów MZK dalej nas, gminę po prostu nie stać. Cena wozokilometra jest taka, że gmina nie mogłaby sobie z takimi

wydatkami poradzić. A przecież do Gorzowa chcą dojeżdżać nie tylko mieszkańcy Czechowa czy Janczewa, ale także mieszkańcy dalej położonych miejscowości. Poza tym rozszerzenie kursów MZK w głąb gminy powodowałoby, że inne kursy komercyjne czy kursy PKS byłyby zwyczajnie nierentowne. A tak mamy całą gminę skomunikowaną wewnętrznymi, ale także skomunikowaną z Gorzowem. W ten sposób nasi mieszkańcy uczący się lub pracujący w Gorzowie mają znacznie łatwiejszy dojazd do szkół i miejsc pracy. Na takie rozwiązania pozyskaliśmy ponad 850 tys. zł dofinansowania z tzw. Funduszu Pekaesowego, czyli dotacji dystrybuowanej przez Urząd Wojewódzki.

- A praktyczny wymiar to jest tylko to, że zwiększa się liczba kursów, czy też to, że będzie tańiej?

- Dokładnie. Mieszkaniec przykładowo Lipek Wielkich zyskuje nie tylko 16 par połączeń, ale do tego dochodzi bardzo korzystna polityka taryfowa gminy. Otóż koszt jednorazowego przejazdu to jest 5 zł, a biletu miesięcznego - 150 zł. I to jest niezależnie od przystanku, na którym się wsiada. Oczywiście są też ulgi ustawowe, czyli uczeń zapłaci 51 procent ceny biletu, to jest 76,50 zł za bilet miesięczny. Do tej pory było to blisko dwa razy droższe.

RENATA OCHWAT

W ułamku sekundy zawalił mu się świat

Trzy pytania do Roberta Nogi, autora książki o Bogusławie Nowaku

- Zdecydował się pan napisać książkę o jednej z legend gorzowskiego żużla. Dlaczego akurat Bogusław Nowak?

- Jak kibice wiedzą, jedno z leszczyńskich wydawnictw książkowych publikuje serię „Asy żużlowych torów”. Uważam, że rola Bogusława Nowaka w polskim żużlu była tak znacząca, że nie wyobrażałem sobie, żeby miało zabraknąć jego sylwetki. Pomysł narodził się zdecydowanie wcześniej, ale na rynku pojawiła się już jedna książeczka o Nowaku i dlatego uznałem, że należy po pierwsze odczekać, po drugie znaleźć pomysł na nową publikację. Wybrałem formę długiej rozmowy, tak zwanego wywiadu - rzeki. Druga sprawa, Nowak to nie tylko świetny przed laty żużlowiec,



wyjatkowy trener, ale i wspaniały człowiek, działacz społeczny, który pomimo dramatu osobistego potrafił znaleźć sposób na życie po ciężkim wypadku. Dlatego w książce poruszyliśmy różne aspekty jego życia. Nie tylko te sportowe.

- Co jest największym walorem tej książki?

- O walorach książki najlepiej jak wypowiedzą się czytelnicy, bo gdybym ja miał na nie wskazać, to tak jakbym chwalił swoją pracę. Z mojego punktu widzenia, czyli autora mogę powiedzieć tylko to, że jest to opowieść o człowieku prawdziwym. Bo takim jest Bogusław Nowak. Zresztą wejdźmy w jego skórę. Kiedyś był na szczycie popularności i w jednej chwili, w ułamku sekundy zawalił mu się kolorowy świat. W gruzie legły jego wszystkie ówczesne plany i marzenia. Jeden z rozdziałów nazwaliśmy „Dzień, w którym pękło niebo”, bo tak odebrał on wypadek na rybnickim torze. Po okresie leczenia potrafił jednak się podnieść i powrócić do działalności

sportowej oraz społecznej. I to jest piękne. Nie wiem, czy każdy potrafiłby tak zrobić.

- Jest pan tarnowianinem i tam legenda Nowaka wciąż jest żywa, choć startował tam zaledwie trzy lata. W czym tkwi ten fenomen, że kibice miejscowej Unii nadal doceniają osiągnięcia Nowaka w ich plastronie, aczkolwiek żadnego medalu dla nich nie zdobył?

- Dla niektórych sukcesem jest medal, dla innych wielkim wydarzeniem jest sam awans w hierarchii sportowej. Bogusław Nowak przyszedł do Tarnowa w 1985 roku i były to czasy dla Unii trudne, bo od 1971 roku nie widziano tej drużyny w ekstraklasie. Byliśmy, jako Tarnów, takim żużlowym zaściankiem bez większych perspektyw. Bogusław

przyszedł jako jeżdżący trener, od razu poukładał drużynę i już w pierwszym roku awansowała ona do krajowej elity. To było wielkie wydarzenie i do dzisiaj kibice mówią, że tamten awans był początkiem renesansu tarnowskiego żużla. W kolejnych latach pojawiła się cała gama świetnych wychowanków, potem przyszedł liczne sukcesy sportowe. Ponadto Nowak do dzisiaj corocznie przyjeżdża do Tarnowa na wakacje, żeby spotykać się z liczным gronem przyjaciół i wtedy pojawia się również na meczach Unii. Zawsze jest ciepło witany. Starsi kibice doskonale go pamiętają, młodszy notują to nazwisko, potem dowiadują się od rodziców, kim jest Bogusław Nowak.

RB

Ludzie w tramwajach zachowują się specyficznie

Trzy pytania do Krystyny Zwolskiej, gorzowskiej fotografi ulicznej

- Jak się zaczęło twoje fotografowanie?

- Zaczęłam zdjęcia robić bardzo późno. I może głupio to mówić, ale naprawdę wyniknęło to ze względu na zdrowie. Musiałam się ruszać, ale lekarka mi powiedziała, że nie mogę robić nic wysiłkowego. Kręgosłup ograniczył jakieś siłowe ćwiczenia. Ale wskazane były szybkie marsze, takie łażenie po prostu. Miałam dużo chodzić, więc zaczęłam dużo chodzić. Szwendałam się po mieście, sama i jakoś tam bez większego planu. No i na dłuższą metę okazało się to zwyczajnie nudne. Wówczas zdecydowałam, że może zdjęcia. Pierwszy aparat, taki malutki na baterie paluszki kupiłam sobie sama. Zaczęłam nim robić zdjęcia. To były takie zwykłe fotografie. To były gorzowskie miejsca. Podwórka. Elementy architektury, zwłaszcza na Nowym Mieście. I rzeczywiście łąziłam tylko po starym Gorzowie.



Wszystko się zaczęło właśnie od tego. A jeszcze później Mikołaj mi kupił trochę lepszy aparat i proste zauroczenie nabrało rozpędu. Obserwowałam ludzi. Wiele osób mnie zaczepiało, szczególnie starsi, samotni, którzy mieli potrzebę porozmawiania. I ja wówczas pierwszy raz zapytałam, czy mogę zrobić zdjęcie, sportretować. Oczywiście była zgoda. I tak się zaczęła ta moja fotografia uliczna.

- No właśnie. I co było dalej?

- Jestem obserwatorem, nie wiem, czy dobry, ale jestem. Dla mnie ulica to jeden wielki spektakl, który właśnie fotografuję, jako ta fotografa uliczna. Jak jesteś w teatrze, to możesz przewidzieć, co za chwilę będzie. Ja, fotografując jakąś sytuację, potrafię przewidzieć, że za chwilę zrobi daną czynność. Na przykład - kobieta stoi na pasach, na czerwonym świetle i ma na sobie bluzkę w paski. Za chwilę zmiana świateł i wejdzie na pasy. Już mi to współgra. Już jest pewien obraz street artu, fotografii ulicznej. Kiedyś miałam taką sytuację, dokładnie naprzeciw kina Słońce, tam był przystanek i reklama - twarz Mory Lisy, która coś czyta. Chodziłam wokół tego miejsca kilkanaście razy, aż trafiłam. Trafiłam na sytuację, którą sobie wymarzyłam. Dokładnie przy tej Monie Lisie stała kobieta z podniesionymi okularami, która czytała książkę. Ważne jest to, że ja tej sytuacji nie inscenizowałam. Bo ja nic nie inscenizuję. Ja po prostu

sttu wyczekałam, aż coś takiego się zdarzyło. Na tym street art też polega. Bo też tak mam, że rzeczywiście czasami czekam na okazję, czekam, aż się wymyśli na przeze mnie sytuacja wydarzy. No teraz, przez te remonty, to sytuacja się zmieniła, bo ja generalnie lubię robić zdjęcia właśnie tu, na Chrobrego i w okolicach. Lubiałam robić zdjęcia w tramwajach, bo ludzie w tramwajach zachowują się specyficznie. Jak widać, teraz mam trochę ograniczone pole manewru. Muszę zwyczajnie wymyślić coś nowego.

- Twoje zdjęcia są cały czas doceniane i nagradzane. Jak się czułaś, kiedy pierwsze twoje zdjęcie zostało docenione przez środowisko street art?

- Ojej, to jest trudne do wyobrażenia, jak wielka była moja radość. Byłam po prostu prześliczna. To się wydarzyło akurat w takim okresie, to pierwsze wyróżnienie, kiedy zaczęłam tracić

sens tej fotografii ulicznej. Mimo tego, że chodziłam, patrzyłam, co się dzieje, robiłam zdjęcia, to jednak traciłam przekonanie. A tu nagle masz, wyróżnienie na streetartpoland. Tam ciężko było o wyróżnienie, bo administratorzy narzucali wysokie wymagania. Ale to dobrze, bo tam się dużo uczyłam. Potem pojawił się drugi problem, jak weszło RODO. Niekończące się dyskusje na stronach fotografii ulicznej, co można, a co nie można. Wówczas też chyba z miesiąc nie robiłam zdjęć, bo się bałam, żeby nie mieć jakichś problemów. Ale to też można ominąć. Teraz robię to inaczej. Jeśli robię zdjęcie osobie bezdomnej, która ma ścieżki życia wypisane na twarzy, a nie chcę pozowane, to robię zdjęcie i podchodzę, zagaduję, częstuję papierosem. Jeśli ta osoba nie ma nic naprzeciw, to publikuję, jeśli ma, to w jej obecności kasuję to zdjęcie. Nic na siłę.

RENATA OCHWAT

Dosyć szybko nastąpiło odwrócenie nastrojów

Z Krzysztofem Kielcem, prezesem Kostrzyńsko-Słubickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej, rozmawia Robert Borowy

- **Dopiero co na dobre rozpoczął się 2021 rok a już służby marketingowe Strefy informują o przygotowaniach do wydania kolejnych decyzji wsparcia dla inwestorów. Podobno jaki początek roku, taki cały rok...**

- Rzeczywiście, na razie mogę powiedzieć, że mamy bardzo udany początek roku, ponieważ wydaliśmy już pierwsze decyzje o wsparciu. Z dużym optymizmem wchodzimy więc w 2021 rok, lecz zachowujemy ostrożność, gdyż trudno przewidzieć, w jakim otoczeniu będziemy dalej działać. Zainteresowanie ze strony inwestorów jest duże, ale poczekajmy na efekty poszczególnych rozmów, ponieważ bardzo dużo zależy od sytuacji epidemiologicznej wokół nas.

- **Gorzowianie zastanawiają się, czy wśród potencjalnych inwestorów znajdują się również tacy, którzy chcą działać na obszarze przemysłowym przy ul. Mironickiej?**

- Na razie w przestrzeni publicznej jest cisza wokół tego terenu, ale w ostatnim okresie zmieniło się naprawdę dużo w zakresie jego przygotowania na przyjęcie pierwszych inwestycji. Faktem jest, że niektóre młyny miały wolniej, nie wszystkie procedury zostały jeszcze zakończone. Jako spółka czekamy już w blokach i stale prowadzimy rozmowy biznesowe. Jak tylko wszystko zostanie dopracowane ze strony formalnej, to w ciągu najbliższych kilku tygodni będziemy mogli już poinformować o efektach naszej pracy.

- **Powróćmy jeszcze do poprzednich dwunastu miesięcy. Spodziewał się pan tak korzystnych wyników w sytuacji, kiedy od wiosny wszyscy zaprzęтали sobie głowę pandemią koronawirusa?**



K. Kielce: Najgorsza była niepewność w kontekście długości trwania obostrzeń i ich zakresu

- Wydaliśmy 22 decyzje o wsparciu, a łączna kwota zadeklarowanego kapitału na inwestycje przez firmy to 1,25 miliarda złotych przy planowanym utworzeniu blisko 380 miejsc pracy. Powiem wprost, ten wynik nas bardzo pozytywnie zaskoczył, gdyż w sytuacji, kiedy cały świat walczył z pandemią nie przypuszczaliśmy, że zainteresowanie naszą ofertą będzie tak duże. Kiedy w marcu 2020 roku koronawirus dotarł do Europy obawialiśmy się, że liczba inwestycji będzie śladowa. Najgorsza była niepewność w kontekście długości trwania obostrzeń i ich zakresu oraz wydłużenia procesów decyzyjnych u inwestorów wskutek wystąpienia nowych czynników ryzyka. Inwestorzy, którzy w tym czasie byli gotowi realizować swoje plany musieli nagle wszystko wstrzymać. Takim bardzo trudnym momentem, w którym praktycznie cała Europa wstrzymała oddech była sytuacja we włoskiej Lombardii, w najbardziej rozwiniętym eko-

nomicznym i najbardziej uprzemysłowionym regionie tego kraju. (...)

- **Duże były spadki produkcyjne w firmach działających w Strefie?**

- Zróżnicowanie było zależne od branż, sektorów gospodarki. Niektóre firmy wręcz zwiększyły produkcję, niektóre mogłyby to zrobić, lecz pozrywane zostały łańcuchy dostaw od kooperantów, a niektóre ograniczyły działalność bądź wstrzymały produkcję. Przykładowo w automotive spadki sięgały nawet 50 procent. Ponadto doszły kłopoty w logistyce międzynarodowej, ceny frachtów z Azji wzrosły o kilkaset procent.

- **O załamaniu rynku jednak nie mówiono?**

- Chyba tylko dlatego, że dobrze zadziałała wiosenna edycja tarczy antykrzysowej. Oczywiście w takich szybkich działaniach i na tak dużą skalę nie zawsze idealnie trafia się z pomocą. Były więc obszary, gdzie nie dotarła ona w wystarczającym stopniu, choć na-

prawdę w stosunku do naszego PKB ta pomoc była duża i bardzo szybko wdrożona, lepiej niż w wielu innych europejskich krajach. Bez tych działań sytuacja gospodarcza całego kraju byłaby naprawdę trudna. W sferze inwestycji początkowo też widzieliśmy problemy i uznaliśmy, że 2020 rok może być trudny, że powrót do inwestycji najpewniej nastąpi od chwili przełomu w walce z pandemią.

- **I chyba zostaliście pozytywnie zaskoczeni?**

- Trochę tak. Dosyć szybko nastąpiło odwrócenie nastrojów. W marcu i kwietniu w trakcie licznych rozmów wyczuwało się daleko idącą niepewność, ale inwestorzy po krótkim przestoju ruszyli do działania i dzisiaj możemy ocenić 2020 rok jako naprawdę dobry, biorąc pod uwagę otoczenie, w jakim przyszło nam działać. Dzisiaj z kolei wszyscy wierzymy, że szczepienia pomogą we wspomnianej walce z pandemią, aczkolwiek jakiś czas to jeszcze potrwa. Inną

sprawą jest, że ten wirus nie zniknie i będziemy musieli nauczyć się z nim żyć.

- **Jak radziliście sobie z nowymi metodami pracy, bo większość rozmów biznesowych musiała odbywać się zdalnie?**

- To była nowość, każdy musiał do niej podejść indywidualnie. Jedni radzili sobie w takich rozmowach lepiej, inni być może trochę gorzej. Z mojego punktu widzenia takie rozmowy są nienaturalne, brakuje tej bezpośredniej interakcji, ale trzeba było się do tego przyzwyczaić i dzisiaj staje się to normą. Oczywiście wierzę, że nie potrwa to długo, bo telekonferencje nie zastąpią spotkań.

- **Firmy z jakich głównie branż postanowiły nie czekać i inwestować na terenie obsługiwanych przez Strefę?**

- Mocno rozwija się branża e-commerce, o czym wspominałam przy okazji niemal każdej rozmowy. To rozumiałe, bo handel coraz sprawniej przenosi się do sieci i żeby w niej mógł działać musi najpierw zostać bardzo dobrze zorganizowany pod kątem logistycznym. Dystrybucja dóbr i towarów musi dzisiaj spełniać bardzo ostre kryteria tak, żeby dać klientowi jak najkorzystniejszą ofertę. Wśród inwestorów są też firmy z sektora nowoczesnych usług informatycznych, zaawansowanych nowych technologii, ale też z sektora maszynowego, automotive. Tak naprawdę trudno tutaj kogokolwiek wyróżniać, ponieważ ten przekrój reprezentowany przez inwestorów jest dosyć szeroki.

- **Prowadzenie działalności gospodarczej przy obostrzeniach nie jest działaniem prostym. Czy w tej sytuacji można dojrzeć jakiejkolwiek korzyści na przyszłość?**

- Jak wiadomo, potrzeba jest matką wynalazków i ze względu na wszechobecny

lockdown oraz obostrzenia nastąpiły zmiany, które mają wpływ na rynek. Udało się stworzyć pewne rozwiązania, które zapewne pozostaną z nami już na lata. Dzięki wprowadzonym ustawowo niektórym udogodnieniom, jak na przykład organizowanie zebrań organów spółek na odległość dostaliśmy nowe możliwości. Proces decyzyjny stał się bardziej sprawny, dzięki nowym technologiom wiele innych rozwiązań się przyjęło i to wszystko wpływa na coraz większą elastyczność w zarządzaniu firmami. Są podmioty, które skorzystały na tym i w szybkim tempie rozwijają biznes. Są też takie, które zaadaptowały się i dostosowały profil działalności do zmienionej sytuacji niestety zmniejszając skalę działalności.

- **Takim przykładem może być chyba gastronomia?**

- Dokładnie. Lokale są zamknięte, ale kucharze pracują. Rynek znalazł rozwiązania, dzięki którym ta branża może w ograniczonym co prawda stopniu, ale prowadzić działalność, głównie na wynos. Rozwinął się szybki transport, osoby rozwożące jedzenie poruszają się sprawnymi środkami transportu, aplikacje biją rekordy popularności, do tego rozwija się rynek opakowań, co dokładnie widzimy, gdyż w gronie naszych inwestorów znajdują się firmy zajmujące się taką produkcją. Jestem przekonany, że nawet po ustąpieniu pandemii tego rodzaju nawyki pozostaną w pewnym stopniu w społeczeństwie, choć oczywiście wszyscy chcemy powrotu rynku konsumenckiego sprzed pandemii. Do tego potrzebny jest przełom w walce z pandemią, którego mam nadzieję jesteśmy obecnie świadkami.

- **Dziękuję za rozmowę.**

Więcej na www.echogorzowa.pl

reklama

WSPIERAMY SZKOLNICTWO ZAWODOWE

**KWALIFIKACJE ZAWODOWE
KSZTAŁCENIE DUALNE
KLASY PATRONACKIE
STAŻE I PRAKTYKI**

www.ksse.pl ul. Orła Białego 22, 66-470 Kostrzyn nad Odrą, tel. +48 95 721 98 00, e-mail: info@ksse.pl

Da Vinci w gorzowskim szpitalu

Wielospecjalistyczny Szpital Wojewódzki w Gorzowie dołączył do elitarnego grona klinik, które w leczeniu chorych wykorzystują robota chirurgicznego da Vinci.

Takie urządzenie ma obecnie 14 jednostek medycznych w kraju, a model X kupiony przez gorzowską lecznicę - 9 placówek.

- To dla nas historyczna chwila - mówi **Jerzy Ostro-uch**, prezes szpitala. - Nie znaczy to jednak, że od jutra nasi lekarze będą go wykorzystywać w swojej pracy. Zanim tak się stanie czeka ich długi i żmudny proces szkolenia trwający ponad 1000 godzin. Przewidujemy, że pierwsze operacje na tym urządzeniu będą mogły być przeprowadzone na przełomie maja i czerwca tego roku.

Robot chirurgiczny da Vinci pozwala na realizowanie wysokospecjalistycznych świadczeń w zakresie diagnozy, leczenia i opieki nad osobami dotkniętymi chorobami nowotworowymi, głównie w obszarze nowotworów prostaty, jelita grubego oraz onkologicznej chirurgii ginekologicznej.

- Praca robota opiera się na technikach laparoskopowych, choć nawet w tym zakresie to zamiana dobrego samochodu na raketę kosmiczną - mówi **dr n. med. Piotr Petrasz**, kierownik Oddziału Urologii i Onkologii Urologicznej. - Da Vinci ma dużo większe możliwości operacyjne niż zwykły laparoskop. Osiąga precyzję cięcia przekraczającą możliwości ludzkich rąk; jest niska utrata krwi, minimalizacja powikłań, mniejszy ból pacjenta i jego szybsza rekonwalescencja. Co ważne zmniejsza się liczba zdarzeń niepożądanych, bo robot optymalizuje ruchy chirurga i poprawia jego pole widzenia. Lekarz wykonujący zabieg z zastosowaniem da Vinci - w odróżnieniu od innych technik chirurgicznych - nie znajduje się bezpośrednio przy stole operacyjnym, ale steru-



dr n. med. Piotr Petrasz prezentuje robota do zabiegów chirurgicznych da Vinci



Lekarz wykonujący zabieg z zastosowaniem da Vinci nie znajduje się bezpośrednio przy stole operacyjnym, ale steruje końcówkami robota za pomocą specjalistycznej konsoli

je końcówkami robota za pomocą specjalistycznej konsoli, która umożliwia wyświetlenie trójwymiarowego obrazu narządu nawet w 16-krotnym powiększeniu.

- Pozycja pracy lekarza podczas zwykłego zabiegu laparoskopowego jest bardzo niewygodna, a sam laparoskop nie może dojść wszędzie - mówi **Marek Nowak**, chirurg z Oddziału Chirurgii Ogólnej i Onkologicznej z Pododdziałem Chirurgii Naczyniowej w gorzowskim szpitalu. - Tu końcówki robota dokładnie odwzorowują ruchy operatora. Nie trzeba używać siły, wystarczy finezja.

Wraz z montażem robota w lecznicy rozpoczął się proces certyfikacji, którego efektem ma być potwierdzenie umiejętności i doświadczenia zespołów chirurgicznych obsługujących robota. W pierwszym etapie będą w nim uczestniczyć lekarze z trzech oddziałów Wielospecjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego w Gorzowie Wlkp. - Oddziału Urologii i Onkologii Urologicznej, Oddziału Chirurgii Ogólnej i Onkologicznej z Pododdziałem Chirurgii Naczyniowej oraz Oddziału Położniczo-Ginekologicznego z Pododdziałem Ginekologii Onkologicznej oraz Diagnostyki i Leczenia Niepłodności.

W tym roku lekarze z gorzowskiego szpitala zamierzają przeprowadzić 100 - 150 operacji zużyciem robota chirurgicznego Da Vinci.

Zakup robota był możliwy dzięki wsparciu inwestycji przez zarząd województwa lubuskiego, radnych sejmiku, Lubuski Urząd Wojewódzki oraz poparcie marszałków wszystkich województw. Zgodę na zakup robota wydał także komitet monitorujący przy ministrze zdrowia.

Robot da Vinci znajduje zastosowanie w następujących obszarach medycyny:

- **operacje urologiczne** (np. leczenie raka prostaty) - w Stanach Zjednoczonych system jest standardem w leczeniu operacyjnym raka prostaty. Około 80% operacji prostatektomii wykonywanych jest przy asyście robota da Vinci.

- **ginekologia** - histerektomia da Vinci to metoda stosowana w usuwaniu zmian łagodnych oraz nowotworów narządu rodne- go. Stanowi nowoczesną technikę chirurgicznego usuwania macicy, jajników i węzłów chłonnych.

- **chirurgia kolorektalna** (rak jelita grubego) - rośnie liczba operacji chirurgicznych przy asyście robota da Vinci w obrębie jelita grubego, ze szczególnym wskazaniem dolnej resekcji odbytnicy i resekcji całkowitej lub częściowej jelita

- **laryngologia i nowotwory regionu głowy i szyi** - za pomocą systemu wykonywane są operacje w obrębie jamy ustnej oraz nagłośni i podstawy języka przez usta

- **kardiochirurgia** - użycie systemu da Vinci w czasie operacji kardiologicznych umożliwia operatorowi robota wykonywanie skomplikowanych ruchów wewnątrz klatki piersiowej pacjenta, bez umieszczania wewnątrz rąk. Pacjenci unikają dzięki temu nacięcia mostka i rzadziej doświadczają powikłań pooperacyjnych

- **torakochirurgia** - wykorzystanie robota da Vinci do operacji torakochirurgicznych jest związane przede wszystkim z operacjami resekcji częściowej lub całkowitej płuca

AGNIESZKA WIŚNIEWSKA

r e k l a m a



Masz problemy w domu, pracy, na uczelni?
 Niepokoisz się, że ich przyczyną bądź skutkiem jest choroba
 lub zaburzenie psychiczne?
 Zgłoś się do punktu zgłoszeniowo-koordynacyjnego.
 Najpóźniej w ciągu 72 godzin znajdziesz tam profesjonalną pomoc.

Centrum Zdrowia Psychicznego w Gorzowie Wlkp.
 ul. Walczaka 42
 tel. 95 7331 858



Wielospecjalistyczny
Szpital Wojewódzki
w Gorzowie Wlkp. Sp. z o.o.



CENTRUM
ZDROWIA PSYCHICZNEGO
W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

U nas człowieka jeszcze się ratuje

Początek roku 2021, jak zresztą każdego z poprzednich, wywołuje nowe społeczne i gospodarcze oczekiwania.

Optymizm przeplata się z obawami i poczuciem zagrożenia. I nie ma się co dziwić w warunkach trwającego już rok kryzysu wywołanego wirusem Covid-19. Dalej chodzimy w masce, dezynfekujemy ręce, z przyzwyczajenia utrzymujemy dystans odległości wobec każdej osoby, zamknęliśmy się na kontakty nawet z rodziną. W szkołach dalej zdalne nauczanie, dopiero po ferii zimowych dzieci klas 1-3 poszły do szkoły. Nauczycielka matematyki opowiada mi o sporych zaległościach uczniów w realizacji programu nauczania, a większości z nich należałoby już zafundować korepetycje. W tym kryzysie naprawdę wykazujemy się dużymi umiejętnościami i zdolnościami. Najciekawsze jest to, jak mówi jeden z wice-ministrów premiera Mateusza Morawieckiego, że wcale do wielu bankructw nie dochodziło, ilość zakładanych firm zwiększyła się, a po pomoc finansową kolejki się nie ustają, bezrobocie wzrosło niewiele, dochody budżetu mają się dobrze, dobre wyniki w handlu zagranicznym biją nieosiągalne dotychczas rekordy - z nadwyżką ponad 60 mld złotych. **Niektóre branże, jak hotelarstwo, turystyka, gastronomia i szeroko rozumiana działalność kulturalna rzeczywiście mają się źle, im trzeba pomagać w pierwszej kolejności.** A rząd miliardami na pomoc sypie, szczególnie firmom o strategicznym znaczeniu, miałam się też coś dostaje i ciekawe, że ma z czego. A dawniej: "pieniędzy nie ma i nie będzie". Właściciele firm pogrążonych w kryzysie mówią, że ta pomoc nie wystarczy na przetrwanie i ponaglać do otwarcia gospodarki we wszystkich branżach. Ratować nas może tzw. odporność stadna, którą można uzyskać tylko masowym szczepieniem.

Trzeba nam jednak dalej działać i żyć w warunkach pewnego reżimu sanitarnego tym bardziej, że wielcy tego świata, WHO i firmy farmaceutyczne zapowiadają już mutacje nowych wirusów zagrażających światu. Ciekawe...! Tymczasem w Polsce nawet nie ma takiego instytutu, który by mógł szybko przystąpić do badań, następnie stworzyć i wdrożyć do produkcji szczepionkę. Tak nasz przemysł farmaceutyczny ogłosiło po tzw. transformacji 1989 roku. Fatalnie! **To trzeba zmienić i z powrotem, jak dawniej, postawić na polski przemysł leków i nasze sieci aptek.** Na razie

jest wszystko odwrotnie; wchodzą międzynarodowe sieci aptek, które preferują leki z koncernów farmaceutycznych. Byłoby naiwnością liczyć, że te wielkie i niepolskie koncerny tanio nam leki sprzedadzą, nawet w czasie klęski pandemii, kiedy miliony ludzi umiera. Producenci szczepionek już ograniczają dostawy, w niektórych przypadkach o 50% i próbują sprzedawać tym co płacą więcej. To pokazuje, że repolonizacja jest konieczna i nie ma co słuchać tych bzdetów liberałów, że rynek nam sam to rozwiąże w naszym interesie narodowym. Potrafimy się mobilizować w chwilach trudnych i umiemy znaleźć rozwiązania w czasach zagrożenia, to i farmację na nogi postawimy.

Widzę jako przedsiębiorca, że wiele firm z Gorzowa Wlkp., wykorzystując kryzys za zachodzie, jeździ np. do Niemiec, Holandii, Belgii, Szwecji i zdobywa swoją konkurencyjną pracę tamtejszy rynek usług, w ten sposób dobrze zarabia i rozwija swoje zakłady. Ta mimo wszystko dobra kondycja polskiej gospodarki to przede wszystkim zasługa polskiej pracowitości i kreatywności. Chciałoby się powiedzieć: "Panie premierze Morawiecki, Pan jesteś historykiem to znane są Panu efekty Planu Ludwiga Erharda w Niemczech czy pieniądze-bankowej reformy Wł. Grabskiego i planu odbudowy E. Kwiatkowskiego w międzywojennej Polsce. Jest Pan bankowcem i role banków oraz pieniądza w rozwoju gospodarki Pan zna. Oczekujemy więc, że dalej będzie kontynuowana repolonizacja i tradycyjnie polskie branże będą rozwijane. Bez aktywnej roli państwa nie damy rady".

Należy zawsze pamiętać, że: "Tyle wolności ile własności". Weźmy analizę skutków pandemii, którą podaje Business Insider Polska w grudniu 2020 roku. Jeden rok kryzysu wywołanego przez Covid-19 spowodował, że wiele lat pracy dziesiątkom krajów idzie na marne. W Europie Grecja i Włochy tracą na koronakryzysie około dwadzieścia lat, Francja osiem lat, Niemcy cztery lata, inne od kilku do kilkunastu lat, a Polska tylko niecały rok. Ciekawe... Money.pl podaje za „Przeglądem Gospodarczym”, że tempo wzrostu polskiego PKB w latach 2021-2022 wyniesie odpowiednio 4,2 i 4%. To raczej Polska, jako kraj z gospodarką skazaną na likwidację po 1989 roku i utrwalenie na pozycji peryferii europejskiego rozwoju, po-



Augustyn Wiernicki, absolwent Akademii Rolniczej i Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, od 1982 przedsiębiorca i właściciel znanej firmy w Gorzowie Wlkp., były radny, doradca wojewody w latach 2000-2001, społecznik, od 1992r. prezes i założyciel Stowarzyszenia Pomocy Bliźniemu im. Brata Krystyna. Prezes Zespołu Koordynacyjnego Związków i Stowarzyszeń Dzieci Wojny w Polsce (z siedzibą w Gorzowie Wlkp.). Członek Zespołu Organizacyjnego Narodowego Kongresu Trzeźwości.

winna cofnąć się te dwadzieścia lat. Jak na warunki kryzysowe to ta prognoza dla Polski jest bardzo obiecująca. To ważna informacja dla naszych przedsiębiorstw. A przecież naszą gospodarkę czeka ożywiający zastrzyk pieniędzy z budżetu państwa na duże i średnie inwestycje. W drugiej połowie 2021 roku rusza Europejski Fundusz Odbudowy, w którym Rząd Polski wynegocjował jeden z największych udziałów... jeżeli nie zgnębią nas tzw. praworządnością. Niektóre nasze branże przemysłowe i usługowe już rosną w dobrym tempie mimo pandemii.

Tymczasem wielcy tego świata nie próżnują i tworzą nowy układ sił w świecie zwiększając przewagę. Na czoło wychodzą nowi giganci, którzy na pewno zdominują globalne i lokalne polskie rynki. Jak na razie nie widać, abyśmy mieli odpowiedź na ten nowy gospodarczy układ, nie koniecznie przychylny dla naszego gorzowskiego biznesu. Widzimy, że niektóre sieci oplatają nas ze wszystkich stron nie pozostawiając przestrzeni aktywności dla naszego handlu i automatycznie też naszej produkcji. W tym względzie na poziomie miasta refleksji nie widzę. **Jedynie premier M. Morawiecki zapowiada, że: " (...)W trybie pilnym na poziomie UE i korzystając z jej siły musimy opracować reguły postępowania wobec nowych monopolii.** W dużym stopniu od tego zależy dobrobyt i przyszłość świata" (PARKIET, 24.12.2020). Premier

zauważył, że niewielka garstka międzynarodowych gigantów wykorzystując kryzys, bogaci się wręcz nieprzyzwoicie i przejmuje kontrolę nawet nad państwami. Miliarderzy na pandemii Covid-19 obłowili się jak nigdy dotąd, zarobili ponad 580 miliardów dolarów - głosi amerykański raport Instytutu Studiów Polityki. 101,7 miliardów dolarów zgarnęło tylko pięciu najbogatszych: J.Bezos, B.Gates, M.Zuckerberg, W.Buffett i L.Ellison. Dwunastu krezusów miliardów powiększyło swój majątek dwukrotnie, a liczba tych „rekinów” trzymających stery władzy w USA wzrosła do 630. W tym samym czasie 45 milionów Amerykanów straciło pracę i zasililo szeregi bezrobotnych. 600 miliardów w ciągu trzech miesięcy pandemii w drugiej połowie 2020 zarobiło więcej niż wynoszą potrzeby budżetowe USA na świadczenia publiczne 330-milionowego społeczeństwa. Widzimy co to znaczy pozostawić gospodarkę i społeczeństwo bezdusznym prawom rynku. **Kult wolnego i nie monitorowanego przez państwo rynku doprowadził USA do tego, że jest najbogatszym państwem świata, gdzie co siódmy obywatel żyje w biedzie.** „Pandemia pokazała rosnące nierówności majątkowe, a miliarderzy są jaskrawym symbolem tej nierówności” - powiedział Frank Clemente z Amerikanfor Tax Fairness. Nie ma się co dziwić, że ci najbogatsi są tak potężni, że potrafią odebrać głos w mediach społecznościowych i

wyłączyć na stałe z Internetu prezydenta największego mocarstwa Donalda Trampa. USA jest bogatym krajem z ogromnym marginesem biedy, i nie radzi sobie z zapewnieniem swoim obywatelom elementarnego bezpieczeństwa zdrowotnego i w przekazie informacji. Tam wirus Covid-19 zbiera największe żniwo, a miliony najuboższych i bezrobotnych pozbawionych jest właściwej opieki medycznej. Powodem tego jest libertyński kult rzekomo samoregulującego się rynku, na którym profity zgarbia mała grupa uprzywilejowanych globalistów i finansistów, oczywiście kosztem amerykańskiego społeczeństwa. Polecam książkę Thomasa Piketty p.t. 'KAPITAŁ w XXI wieku, w której autor na 740 stronach opisuje te zjawiska. **W USA bezgranicznie zaufano sprywatyzowanej służbie zdrowia, a każdy właściciel takiej placówki stał się biznesmenem kalkulującym usługi zdrowotne wyłącznie w kategoriach opłacalności. Popularne jest tam powiedzenie, że: "Nie leczymy tego pacjenta, bo się nie opłaca".** Ta zasada już weszła do praktyki leczniczej w wielu krajach. U nas też już często czytamy i słyszymy wołanie matek o zbiórce setek tysięcy na leczenie ich dzieci, bo lekarz, który posiadał wiedzę w tym zakresie żąda ogromnych pieniędzy za pomoc temu dziecku. Nie dasz tych pieniędzy to umierasz, a ci z tych bezdusznym klinik nawet z miejsca się nie ruszą by bez zapłaty życie ratować. Proszę uważnie patrzeć, czy i u nas to się czasem nie zaczyna? Mamy przykład Polaka, którego z ekonomicznych powodów w angielskim szpitalu odłączono od pożywienia i skazano na śmierć. Po prostu nie opłacało się go leczyć... Żeby tego Polaka ratować, Rząd Polski musiał zastosować fortel prawny, wyrobił mu paszport dyplomatyczny i na tej podstawie wystąpił do władz angielskich o pozwolenie leczenia go w Polsce. **Nie zezwolono na przewóz do Polski i na oczach całego świata zagłodzono. Tak właśnie wygląda eutanazja, to jest właśnie cywilizacja śmierci.** U nas, co by nie powiedzieć na naszą służbę zdrowia, jednak człowieka jeszcze się ratuje.

Dziwne, że nie ma refleksji wśród wielu naszych polityków nad tym co się np. w Stanach Zjednoczonych, Anglii i Holandii dzieje, szczególnie w ochronie życia. Ten

libertynizm przenika dalej... Czy do Polski dojdzie?! Mój kolega ze studiów, do niedawna wykładający na jednym z amerykańskich uniwersytetów opowiadał mi, że w Ameryce zaszczepiono ludziom indywidualizm - jeśli komuś się powodzi, to jego zasługa, jeśli komuś się nie powodzi, to wyłącznie jego wina. Tak ukształtowano filozofię życia społecznego. Jak ktoś zachoruje na Covid-19, a nie ma pieniędzy, lub jego konto ubezpieczeniowe jest liche, to ma marne szanse. Stąd tak duża umieralność w USA. Słynny amerykański ekonomista, laureat Nagrody Nobla, Paul Krugman krytykuje amerykańską zasadę liberałów: "nikomu nie pomagaj, każdy ma radzić sobie sam" - mówi, że ta zasada posunęła się w pandemii do absurdu. Ludzie biedni, bez pracy i żadnych szans na zatrudnienie wpędzani są całymi rodzinami w trudno wyobrażalną biedę. **Na obrzeżach miast tworzą się gigantyczne slumsy. U nas tego jeszcze ich nie ma, i dzięki Bogu.** Wielce prawdopodobne, że w przyszłości wielu libertyńskich polityków wprowadziłoby nas chętnie, z pobudek ideologicznych, na tą amerykańską libertyńską ścieżkę opieki medycznej. Niektóre kraje silniejsze próbują nawet wykorzystać pandemię do utrwalenia przewagi nad pozostałymi państwami, nagromadzone rezerwy pieniędzy kierują tam, gdzie można jeszcze utrwać swoją polityczną i gospodarczą przewagę. Myślą egoistycznie tylko o sobie, jak choćby przykład Niemiec i Francji, które to państwa wyłamały się z solidarności europejskiej i szybko załatwiły dostawy szczepionek tylko dla swojego społeczeństwa. Wiadomo, kto prędzej opakuje koronawirusa i uruchomi swoją gospodarkę, ten przejmie przyhamowane pandemią rynki zbytu.

Polska znalazła się jakby w „oku tego cyklonu” i bardzo odczuwa egoizm tych naszych unijnych partnerów. Nie oglądajmy się na nikogo, budujemy swoją polską, chrześcijańską cywilizację w duchu szacunku, tolerancji i wolności słowa. „Nie zasypiamy gruszek w popiele” i w nowym roku bądźmy dalej aktywni. Widać, że nie tylko nadrobimy opóźnienia, ale już odbijamy się do przodu, na co wiele krajów szybko liczyć nie może. Parafrazując słowa św. Benedykta powiem: Ora et labora Polsko.

AUGUSTYN WIERNICKI

Był mistrzem świata w toczeniu fajerki

Nie bardzo było wiadomo, skąd się wziął i dlaczego właśnie tu postanowił zamieszkać.

Charakterystyczną sylwetkę - niskiego szczupłego mężczyzny w kaszkiecie, okularach w grubych ramkach i sukiennej kurtce z nieodłącznym wózkiem wypchanym różnym bambetlami znali wszyscy, którzy mieszkali w Gorzowie w drugiej połowie XX wieku. To Szymon Gięty, czyli jedna z najsympatyczniejszych postaci w mieście nad trzema rzekami.

Pojawił się z nienacką, coś na początku lat 50. Nie bardzo było wiadomo, skąd się wziął i dlaczego właśnie tu postanowił zamieszkać. A ponieważ był bardzo kolorową postacią, szybko zaczęła powstawać o nim legenda. A on sam, zawsze uśmiechnięty, zawsze ludziom życzliwy, co nie znaczy nie sprawiający im psikusów, legend tych wcale nie prostował, ani nie podważał.

Wymyślił go Morawski

Szymonem Giętym **Kazimierz Wnuk** został dzięki **Zdzisławowi Morawskiemu**. Pisarz zobaczył bowiem kiedyś niewysokiego mężczyznę w wielkich rogowych okularach i kaszkiecie, który wygięty w kabłąk pchał przed sobą wózek z jakimiś kłopotami. Pseudonim tak przygnał do Wnuka, że dziś tylko nieliczni pamiętają jego prawdziwe nazwisko.

Pan Bóg to jest ludzki człowiek

Wspomina nieżyjący już **prof. Ludwik Lipnicki**, lichenolog, czyli znawca porostów z Akademii Wychowania Fizycznego, który na stałe mieszkał w Drezdenku, i się sporo pociągami w życiu najeździł. - *Jechałem kiedyś z Krzyża do Drezdenu. I właśnie nadjechał pociąg, wysiedli z niego pod-*



Fot. Archiwum Kurta Mazura

Dziś tylko nieliczni pamiętają prawdziwe nazwisko Szymona Giętego

różni, no i my zaczęliśmy wsiadać. Wśród czekających był też i Szymon Gięty. Zawsze zbierał jakieś butelki czy inne rzeczy pozostawione przez podróżnych. No i właśnie doszedł do przedziału obok. Znalazł tam kilka pustych butelek i wtedy usłyszałem - Pan Bóg to jest ludzki człowiek, nie da zginąć Szymonowi. I to była bardzo głęboka mądrość życiowa, jaką usłyszałem.

Lubił ludzi i aparaty

Opowiada **Kazimierz Ligocki**, wieloletni fotoreporter „Gazety Lubuskiej”. - *Poszedłem kiedyś do niego, do domu, a mieszkał przy ul. Mieszka I, a nie na Zawarcu, jak chce legenda. No i zapytałem, czy by mi nie popozował. Nie było sprzeciwu. Co więcej, cała ta sytuacja bardzo go bawiła. Szymon zaczął robić śmieszne miny, trochę się wygłupiał, no bardzo fajne spotkanie było. A potem, ile razy mnie spotkał na ulicy, to się kłaniał. Zresztą nie znam nikogo, kto*

by mógł powiedzieć o nim złe słowo.

Jedyny kłoszard, który ma pomnik

Mówi mecenas **Jerzy Synowiec** - *Szymon Gięty był trochę kłoszardem, konstruktorem, żartownisiem, jeśliby przyłożyć do niego dzisiejsze miary - trochę happenarem. Kiedyś na przykład ustawił w centrum miasta namiot i rozgłosił, że wewnątrz jest małpa, a każdy, kto chciałby ją obejrzeć musi mu zapłacić kilka złotych. Ludzie płacili, wchodzili do wnętrza i oglądali... własne odbicie. W namiocie stało lustro. Innym razem Gięty zrobił wystawę kanarków, które okazały się pomalowanymi na żółto wróblami. Był jednym z symboli tego miasta. Dziś to chyba jedyny kłoszard na świecie, który posiada własny pomnik.*

I właśnie dlatego, że Szymon był tak kolorowym człowiekiem w szarych czasach, postanowił zaangażować się w akcję stawiania rzeźbki. Niestety, dziś rzeźbka nie ma fajerki, ukradli ją wandy.

Mistrz świata w toczeniu fajerki

Krótko po tym, jak w Gorzowie powstała redakcja „Gazety Wyborczej”, ówczesny jej szef **Jerzy B. Wójcik** wymyślił imprezę dla gorzowian, która polegała przede wszystkim na odwołaniu się do kresowych korzeni większości ze współczesnych mieszkańców. Było wspólne oglądanie filmu „Sami swoi” i parę jeszcze innych atrakcji. Jedną z nich był konkurs toczenia fajerki. Problem polegał na tym, że na Starym Rynku, gdzie się odbywał, nie było ani kawałeczka równego klepiska. Organizato-

rzy więc wymyślili, że fajerkę potoczyć trzeba po kostce koło dzisiejszego Tesco. Do konkursu parę osób się zgłosiło, w tym paru mistrzów w wieku już średnim. I konkurs jakoś się tam toczył, niemrawo, bo niemrawo, ale zawsze. No i rzecz cała nabrała rumieńców, kiedy zjawił się Szymon. Odłożył swoje bambetle, poprawił kaszkiet i okulary i tak potoczył fajerczkę, że wszyscy zamarli ze zdumienia. Nie dość, że zrobił obowiązkowe kółko, to jeszcze zatoczył dwa dodatkowe, a potem pięknie się uśmiechając odebrał nagrodę i się ulotnił. A tytuł mistrza świata i okolic w toczeniu fajerki, jaki wówczas ustanowił, do dziś został niepokonyty przez nikogo, choć paru próbowało.

Dżunglowe zwierzę

Tak mówił o małpce, którą przez jakiś czas miał. Bo Szymon wśród różnych dziwactw miał jeszcze i to, że kochał zwierzęta. I posiadał niemal cyrkową menażerię. Gorzowianie pamiętają jego psa, który umiał mnożyć do 30, dwie kuny, dzikiego jastrzębia, dwie sowy, wieiórki, szczura, białe myszki i węży. - *Zawsze chodził z jakimiś zwierzakami. A kiedyś nawet urządził pokaz. Ustawił taką budę, niby-namiot koło katedry i każdy mógł tam za jakiś grosze zajrzeć. A tam w środku ta jego małpa siedziała - opowiada jeden z gorzowian. Z małpą Szymon paradował po mieście. I to właśnie małpa była przyczyną skandalu, bo kiedyś Szymon wszedł z nią do sklepu i łagodnemu zwierzakowi nagle nie spodobał się kok jednej z gorzowianek.*

Dżunglowe zwierzę wyrwało kobiecie całkiem sporą garść włosów, zanim Szymo-

nowi udało się małpkę opłamać. Dzięki chyba tylko boskiemu zrządzeniu losu awantura nie miała finału na milicji. Aż raz pewnego sam Szymon stracił cierpliwość do zwierzaka i oddał małpkę niemieckiemu cyrkowi, który właśnie gościł nad Wartą.

Jest jeszcze wiele innych anegdot z nim związanych i może warto byłoby kiedyś je spisać.

Z wiaderkiem do magistratu

Kiedy już Szymon postanowił zamieszkać w Gorzowie, najpierw rezydował w różnych altankach na ogródkach, cmentarzach i innych niezwykłych norach. Raz pewnego znalazł niedokończony garaż przy ul. Cegielnianej i swoim prawem postanowił w nim zamieszkać.

A ponieważ nie miał wody, więc codziennie z wiaderkiem wędrował po nią do magistratu. Tak to tłumaczył **Grzegorzowi Tajsnerowi**, który zrobił o nim dokument - *A żeby tych urzędników moja bezdomność w oczy kuła* - mówił. Nawet milicjantom nie udało się go wykwaterować z tego miejsca. Okolicznych chuliganów, którzy mu zatykali komin od piecyka zwanego kozą i służącego do ogrzewania pomieszczenia, też postawił obłaskawić. A pikanterii temu miejscu dodawał fakt, że nocowały tam panienki lekkich obyczajów. A sam Szymon tłumaczył, że w zamian za gościnę tylko zatańczył taniec brzucha.

W pierwszomajowych pochodach

Wśród rozlicznych zajęć, jakimi imal się Szymon, był też handel instrumentami muzycznymi i różnego rodzaju zagadkowymi przedmiotami. Potem przerzucił się na zbierkę makulatury. To wówczas sprokurował sobie swój słynny wózek, jeden z jego ze znaków rozpoznawczych. I jak gorzowianie pamiętają, nigdy nie kradł, ani nie zebrał, tylko jak tłumaczył, on jest prywatna inicjatywa, a że trochę innego sortu, to już inna sprawa. I właśnie jako ta oto prywatna inicjatywa postanowił wziąć udział w pochodzie z okazji święta 1 Maja. Jak postanowił, tak zrobił. Rzeczywiście przemarszerował przed honorową trybuną ze swoim klekoczącym wózekkiem na zakończenie owego pochodu. No i od tego czasu zaczęła się trwająca kilka lat zabawa w łapanie Szymona. Łapiącymi byli funkcjonariusze

Milicji Obywatelskiej, a łapanym naturalnie Szymon. Na kilkanaście godzin przed pochodem milicja ładowała go do nyski i gdzieś wywoziła. A gorzowianie się zastanawiali - pójdzie Szymon w pochodzie, czy też nie pójdzie. No i zawsze szedł, na końcu, pchając ów słynny wózek. Gorzowianie się cieszyli, bili brawo, a władza była wściekła, że znów ją przechrzył.

Z myśli Szymona ręka spisanych

„Bóg kończąc stworzenie świata odpoczął chwilę, a potem sfrunął z planety Wenus na planetę Ziemia i zostawił na wielkiej skale kartkę z napisem „Ziemia do przebudowy” i poleciał na Słońce. Szatan przeczytał kartkę, puknął się w czoło i krzyknął „Ziemia do rozbiórki”.

Inne zapiski się niestety nie zachowały.

Napisał o nim Jan Grzegorzczak

Szymon Gięty jest jednym z bohaterów wzruszającej książki „Niebo dla akrobaty” poznańskiego pisarza Jana Grzegorzczaka. To książka o chorobie i tym, jak ona się na nas odciska. No i właśnie autora ujęło to, z jaką pogodą ducha i spokojem swoją chorobę w gorzowskim hospicjum przyjmował Szymon.

Kilka faktów

Szymon Gięty - **Kazimierz Wnuk**. Urodził się w 6 lutego 1914 roku w Warszawie i tam skończył technikum ogrodnicze. Wojnę spędził na robotach w Niemczech. Po jej zakończeniu na krótko wrócił do Warszawy, a potem przeniósł się na obecną Ziemię Lubuską. Zaczynał pracę w Nowej Soli, po to, by ją zaraz zmienić. Do przejścia na rentę pracował w prawie 50 różnych zakładach.

Zmarł 28 listopada 1998 r. w Gorzowie. Pochowany jest na cmentarzu komunalnym przy ul. Żwirowej. 1 maja 2004 przed Parkiem 111 została odsłonięta jego rzeźba autorstwa Andrzeja Moskaluka. Rzeźba powstała ze składek mieszkańców, prywatnej inicjatywy i miasta. Rzeźba ta jest pierwszą na szlaku niezwykłych mieszkańców upamiętnionych w brązie dzięki zaangażowaniu mecenasa **Jerzego Synowca** i biznesmena **Arkadiusza Grzechocińskiego**.

RENATA OCHWAT



Fot. Archiwum

Rzeźba gorzowskiego kłoszarda przy Parku 111 ciągle traci fajerkę, bez której nie jest sobą...

Na gorzowską ziemię przywiódł ich imam

Z licznej, liczącej ponad 100 osób mniejszości narodowej Tatarów w Gorzowie została garstka.

Była to jednak na tyle wyrazista grupa, że pamięć o nich cały czas jest przechowywana w myśli oraz nauce. A ostatnią wyrazistą postacią Muzułmańskiej Grupy Wyznaniowej była Rozalia - Róża Aleksandrowicz. Społeczniczka, przedsiębiorca - prowadziła kultową kawiarenkę Maleńka przy ul. Chrobrego, była gorzowską radną, przewodniczącą jako ostatnia Muzułmańskiej Grupy Wyznaniowej. Była niezmiernie znana, nigdy nie ukrywał tego, że jest Tatarką, wręcz przeciwnie, był to dla niej powód do dumy. Po jej śmierci 13 sierpnia 2008 roku mniejszość tatarska sukcesywnie się zmniejszała. Dziś mieszka tu zaledwie kilkanaście osób tej mniejszości. Jednak w pamięci najstarszych gorzowian ich obecność przechowała się w nazwie Tatarskie Górkki, czyli Janice, bo tam się cała społeczność osiedliła po II wojnie światowej.

Przyjechali aż z Wileńszczyzny

Tatarzy do Gorzowa trafili w wyniku wielkiej zawieruchy po II wojnie światowej, kiedy to wielka polityka spowodowała zmianę granic. O tym, że Tatarzy muszą wyjechać z Wileńszczyzny,



Tatarzy do Gorzowa trafili w wyniku wielkiej zawieruchy po II wojnie światowej

gdzie osiedli przed wiekami jako lojalni poddani Rzeczypospolitej Obojga Narodów, zdecydowała Moskwa. Trafili więc do poniemieckiego miasta, które leżało o tysiące kilometrów od ich rodzinnych domostw, dlatego szukali miejsca podobnego do utraconego. Takim

podobnym okazały się Janice. Na początek była to grupa licząca około 100 osób, po kilku miesiącach grupa znacznie się powiększyła. W 1948 roku w sprawozdaniu prezydenta Gorzowa można przeczytać, że liczba Tatarów, to około 150 osób. Od samego początku z grupą do Gorzowa przyjechał imam Selim Safarewicz, który jednak dość szybko wyprowadził się do Wrocławia. Jednak stałe związki z Gorzowem miał aż do śmierci.

Następnie imamem gorzowskim został Bekir Rodkiewicz. I choć Tatarzy żyli zgodnie z własną religią, przestrzegali własnych świąt, to jednak stosunkowo późno zwrócili się do władz miejskich o oficjalne pozwolenie na stworzenie gminy, bo w 1959 r. I naturalnie szybko ją dostali. To wówczas właśnie Bekir Rodkiewicz stanął na czele gminy jako duchowy przywódca, a przewodniczącym gminy został Mustafa Szehidewicz.

I tu ciekawostka. Gorzowskich Tatarów nie stać było na budowę osobnego meczetu czy też domu modlitwy, dlatego nabożeństwa odbywały się w domach. A kiedy miasto zapropono-

wało, aby na potrzeby wyznawanej religii przejęli jeden z kościołów, zwyczajnie odmówili. Jakoś to nie bardzo mieściło się w ich głowach, aby przerabiać chrześcijańską świątynię na meczet.

Poza tym muzułmanie gorzowscy nie stworzyli osobnej kwatery na cmentarzu. Zwłoki zmarłych członków wspólnoty chowano więc na cmentarzu w Warszawie albo na cmentarzach muzułmańskich na Białostocczyźnie.

Zaczyna się migracja

Wyraźną granicą w działalności gminy jest rok 1960. Od tego czasu gmina zaczyna się zmniejszać. Gorzowscy Tatarzy przenoszą się do Warszawy lub w Białostockie, w okolice Kruszynian czy Bohonik, historycznych centrów polskich Tatarów.

W 1969 roku uaktywnili się Tatarzy w Szczecinie i ich społeczność posługą duchowną objął gorzowski imam Bekir Rodkiewicz. Kilka lat później w skład gorzowskiej gminy weszły tereny ościennych województw.

Cóż z tego, kiedy społeczność tatarska w samym Gorzowie systematycznie ma-

łała. W 1979 roku mieszkało tu tylko dziesięć rodzin. Tatarzy sukcesywnie przestali się wyróżniać z otoczenia.

Sprawę pogorszyła jeszcze śmierć imama Bekira Rodkiewicza, który zmarł 23 stycznia 1987 roku. Pochowany jest na muzułmańskim cmentarzu w Warszawie. Po jego śmierci gmina słabła cały czas. W 1993 roku przewodniczącą została Rozalia Aleksandrowicz i sprawowała ten obowiązek do 2007 roku. Po jej rezygnacji gmina się rozwiązała. Dziś gorzowscy Tatarzy należą do gmin białostockich.

Religia i obyczaj

Tatarów od innych mieszkańców od zawsze odróżniała wyznawana religia - islam oraz obyczaje z nią związane. Tatarzy obchodzą dwa główne święta Kurban-Bajram i Ramadan-Bajram. To pierwsze - święto ofiarowania obchodzi się na pamiątkę tego, że Abraham w imię wiary w Boga chciał nawet ofiarować swego syna. W to święto należy złożyć ofiarę z wołu lub barana. I w Gorzowie zwyczaj ten przetrwał aż do połowy lat 70. I co zaskakujące, brali w nim udział niemuzułmanie, jak choćby gorzowski poeta

Zdzisław Morawski. Kurban-Bajram obchodzi się zwykle jesienią.

Ramadan-Bajram to święto zesłania Koranu i poprzedza je restrykcyjny post trwający miesiąc, podczas którego od wschodu do zachodu słońca wiernym nie wolno nic pić ani jeść.

Jak piszą znawcy tematu Tatarzy lubili się bawić. Urządzali potańcówki, bale sylwestrowe. Cała ta aktywność zanikła, kiedy sama społeczność skurczyła się do garstki tych, którzy tu zostali.

Gorzowscy Tatarzy maksymalnie wtopili się w otaczające ich sąsiedztwo. Przyjęli wiele obyczajowości chrześcijańskiej - stawiają choinki w domach, malują pisanki na Wielkanoc, odwiedzają groby zmarłych na Wszystkich Świętych. Żyją obok nas, a czasami najbliżsi sąsiedzi nie wiedzą, że tuż za ścianą mieszka Tatarzy.

Dbanie o pamięć

Choć społeczność tatarska skurczyła się do niewielkiej grupy, to jednak o ślady przeszłości po tej fascynującej mniejszości dba pieczętowanie Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, która wydała między innymi monografię „Tatarzy na Ziemiach Zachodnich Polski w latach 1945-2005” dr. Aleksandra Alego Miśkiewicza z Uniwersytetu Białostockiego. W 2010 roku księżnica zorganizowała specjalną wystawę poświęconą tej mniejszości. Dział regionalny biblioteki gromadzi wszelkie informacje o tej mniejszości. Do tych działań włączyła się również Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa (teraz AJP), która w 70. rocznicę przyjazdu Tatarów do Gorzowa urządziła specjalną konferencję prasową.

I choć Tatarów prawie już w Gorzowie nie ma, to jednak pamięć o nich jest jeszcze żywa.

RENATA OCHWAT

Korzystałam między innymi z artykułu Grażyny Kostkiewicz-Górskiej „Tatarzy w Gorzowie” z książki „Gorzów miastem wielu kultur” oraz z przywołanej już książki Alego Miśkiewicza.



Na gorzowską ziemię przywiódł ich imam...

Pani Róża, co smaczne rurki z kremem sprzedawała

Róża Aleksandrowicz była Tatarką, co zawsze z dumą podkreślała.

Jedną z pierwszych kobiet w gorzowskim biznesie. Załężało jej na mieście. Była jedną z gorzowianek, które się pamięta.

- Pamiętam z dzieciństwa, że nagrodą za dobre zachowanie była wyprawa do Maleńkiej i rurki z kremem. Moja mama zawsze tam piła kawę - wspomina jedna z wielu gorzowianek, która przytulną kawiarenkę prowadzoną przez Różę Aleksandrowicz, jak panią Rozalię nazywali wszyscy, wspomina z ogromnym sentymentem.

Z Nowogródka do Gorzowa

Rozalia Aleksandrowicz urodziła się 29 sierpnia 1933 roku w rodzinie polskich Tatarów. Szczęśliwe dzieciństwo przerwał wybuch II wojny światowej. Okropny los szybko upomniał się o jej rodzinę. Najpierw NKWD aresztowało jej ojca, a ją, jej brata oraz matkę zesłano do Kazachstanu. Rodzina podzieliła losy innych zesłańców. Ciężka praca, głód, poniżenie, walka o życie - tego doświadczali polscy zesłańcy, tego też doświadczyła rodzina Aleksandrowiczów. Pani Róża niechętnie w rozmowach wracała do tamtego czasu. Niechętnie o tym opowiadała. - To był niedobry czas - kwitowała zwykle pytania o czasy zsyłki.

Rodzina miała jednak szczęście. Dość szybko udało się Aleksandrowiczom wrócić do Polski po wojnie, ale nie do Nowogródka, bo to już było białoruskie miasto. W 1945 roku rodzina osiadła w Krzyżu, gdzie mieszkała do 1948 roku. Z Krzyża wraz z rodziną przeprowadziła się do Gorzowa, w którym mieszkała do końca życia.

Czas przyszedł na Maleńką

Już w Gorzowie w 1951 roku Rozalia skończyła Państwowe Gimnazjum Przemysłu Gastronomicznego, dzisiejsze Technikum Gastronomiczne. I choć to się wydaje niemożliwe, już wówczas chodził jej po głowie pomysł na kawiarenkę. Ale najpierw ważniejsze sprawy stanęły na jej drodze. W roku zakończenia szkoły wyszła za mąż za Ibrahima Aleksandrowicza i urodziła córeczkę Ewę. Sześć lat później na świat przyszedł syn Aleksander.

W 1953 roku rozpoczęła pracę w Zakładach Mecha-



Róża Aleksandrowicz była dumna z tego, że jest Tatarką

nicznych Gorzów i wytrzymała tam sześć lat. Kiedy rozstała się z zakładem, przyszedł czas na prywatną inicjatywę.

Ziściło się marzenie, kiedyś tam wymyślone. W 1971 roku otworzyła kawiarenkę Maleńka.

Przytulna i bardzo lubiana przez gorzowian Maleńka powstała w piwnicy jeden z kamienic przy ul. Chrobrego. Kilka małych stolików, jak na tamte czasy wysmakowane jednak wnętrze oraz słynne rurki z kremem sprawiły, że kawiarenkę gorzowianie pokochali natychmiast. I nie tylko gorzowianie, bo do Maleńkiej zachodzili ci, co do Gorzowa na zakupy zjeżdżali z okolicy. - Mnie tam zaprowadziły gorzowskie koleżanki. Potem już sama tam zachodziłam, ile razy przyjeżdżałam do miasta. Jakoś tak się porobiło, że zakupy, nawet udane, zwyczajnie się nie liczyły bez rurek z kremem albo takiej galaretki. Minęło już sporo lat od tamtych czasów, a ja cały czas pamiętam tam miejsce, pamiętam panią Różę, pamiętam ten klimat, ale i smak tych rurek. Jakoś nigdzie później nie dane mi było spróbować czegoś tak dobrego, a jednak trochę się po świecie ruszam i próbuję lokalnych smaków - mówi jednak z gorzowianek.

Kawiarenka po kilku latach zamieniła się w cukiernię i kawiarnię „U Róży”, ale we wdzięcznej pamięci gorzowian i nie tylko gorzowian miejsce to cały czas trwa jako Maleńka.

Nawet po latach, jak kawiarenka zniknęła z pejzażu miasta, bo w tym samym miejscu powstała placówka medyczna, gorzowianie,



Zawsze była elegancka i uśmiechnięta...

zwłaszcza ci starszej daty, inaczej o tym miejscu nie mówią, jak Maleńka.

Być może za sprawą tych rurek, które cały czas można kupić w okienku obok wejścia do firmy medycznej. I dziś współczesne dzieci ciągną rodziców na przysmak, którym Rozalia Aleksandrowicz zachwyciła wiele lat temu Gorzów.

Politycznie i obywatelsko

Wszyscy, którzy znali Różę Aleksandrowicz, pamiętają też jeszcze jedno. Jej olbrzymie obywatelskie, ale i polityczne zaangażowanie.

Od 1971 roku była ona bowiem członkinią Zrzeszenia Prywatnego Handlu i Usług.

Zasiadała nawet w Radzie Naczelnej tego Zrzeszenia. I to z mocnym głosem w sprawach tego środowiska. W tamtym czasie została też członkinią Stronnictwa Demokratycznego. I też nie była bierną. Z ramienia partii zasiadała w Wojewódzkiej Radzie Narodowej. I też z ważnym głosem.

Ale i tego mało było energicznej Róży Aleksandrowicz. W latach 1990-1994 oraz 1998-2002 zasiadała w Radzie Miejskiej Gorzowa. I zawsze interesowała ją sprawa lokalnego biznesu, gospodarki. Ale też sprawy zwykłych ludzi.

W latach 1989 i 1991 bez powodzenia ubiegała się o

mandat senatora RP w województwie gorzowskim z ramienia SD. W pierwszym przypadku uzyskała 8% głosów, w drugim znalazła się na czwartej pozycji. W 1993 próbowała swych sił w wyborach do Senatu jako niezależna kandydatka. I też, niestety, bez powodzenia.

Po 1993 związała się z Unią Pracy, była m.in. członkiem jej Rady Krajowej.

W latach 90. minionego wieku założyła i szefowała fundacji Gorzowskie Zdrowie. Prowadziła także firmę Med-Tronik. W lokalu dawnej cukierni przy ul. Chrobrego otworzyła punkt badań zdrowotnych. Jej fundacja Gorzowskie Zdrowie zakupiła wówczas nowoczesny aparat do USG oraz kilkanaście innych aparatów medycznych wysokiej klasy. To była nowość. Gorzowianie docenili.

Religia też była ważna

Róża Aleksandrowicz, jak wszyscy Tatarzy polscy, była muzułmanką. Dopóki gmina wyznaniowa tatarska była w miarę liczna, praktykowanie religii było sprawą prostą. Społeczność spotykała się na modlitwach. Ale kiedy zaczął się systematyczny odpływ Tatarów na wschód kraju, do Białegostoku i okolic, kwestia stawała się trudna. - Praktykujemy na tyle, na ile jest to możliwe - opowiadała wówczas Róża Aleksandrowicz. Przyznawała jednak, że to jest problem. Opowiadała między innymi o tym, jak wygląda obchodzenie świąt innych, aniżeli muzułmańskich. Bo jakoś trzeba się było w tej innej rzeczywistości ułożyć. Wiele razy podkreślała, że nic na siłę zrobić się nie da. I jak przychodził czas katolickich świąt, to polscy Tatarzy też jakoś ten czas obchodzili. Bez wymiaru religijnego, ale godnie i w spokoju.

A kiedy gorzowska gmina wyznaniowa stopniała już bardzo mocno, potrzeba było przywódcy, to właśnie Róża Aleksandrowicz w 1993 roku została jej przewodniczącą i pełniła ten obowiązek do 1997 roku. Warto dodać, że w skład gorzowskiej gminy wchodziły też Piła, Wrocław, Poznań i Szczecin.

To za jej czasu, w dniach 30 i 31 sierpnia 1995 roku w Muzeum Lubuskim im. Jana Dekerta odbyły się uroczyste obchody 50. rocznicy osad-

nictwa tatarskiego na ziemiach zachodnich. I do dziś ci nieliczni, którzy poza Tatarami tam wówczas byli, wspominają, jak to szacowna pani radna oraz skuteczna biznesmenka modliła się na dywanie rozścielonym w muzeum twarzą w kierunku Mekki.

Róża Aleksandrowicz z czynnego życia zawodowego i społecznego wycofała się w 2005 roku. Pokonały ją różne problemy, ale i zdrowie zaczęło szwankować. Jednak spotykała się ze znajomymi, widywano ją na ulicach. Może już nie tak energiczną, ale zawsze przyjazną.

Odeszła 13 sierpnia 2008 roku. Zmarła w Gorzowie, w mieście, do którego z Nowogródka, przez Kazachstan i Krzyż przywiódł ją los i którego nigdy już potem nie opuściła.

Pochowana została na Muzułmańskim Cmentarzu Tatarskim - zabytkowym mizarcze znajdującym się przy ul. Tatarskiej 8 w dzielnicy Wola w Warszawie. Na tym samym, na którym spoczywa wielu wybitnych i zasłużonych naszemu krajowi przedstawicieli Tatarów polskich.

Coda

Znałam osobiście panią Różę. Pamiętam ją jako zawsze elegancką, zawsze uśmiechniętą i zawsze zainteresowaną różnymi sprawami kobietę. Nigdy nie było problemu, żeby się spotkać, ot choćby na chwilę. Porozmawiać, wymienić się poglądami. Nigdy nie usłyszałam od niej negatywnych ocen na innych ludzi. Bo jeśli chodzi o problemy natury gospodarczej czy społecznej, to owszem tak. Ale zawsze swoje zdanie pani Róża wyrażała w wyważony, spokojny sposób. Była skuteczna. Pomagała z sukcesami. Jednak pani Róża nigdy nie chciała, aby pisać o tym, co faktycznie robi, a robiła dużo.

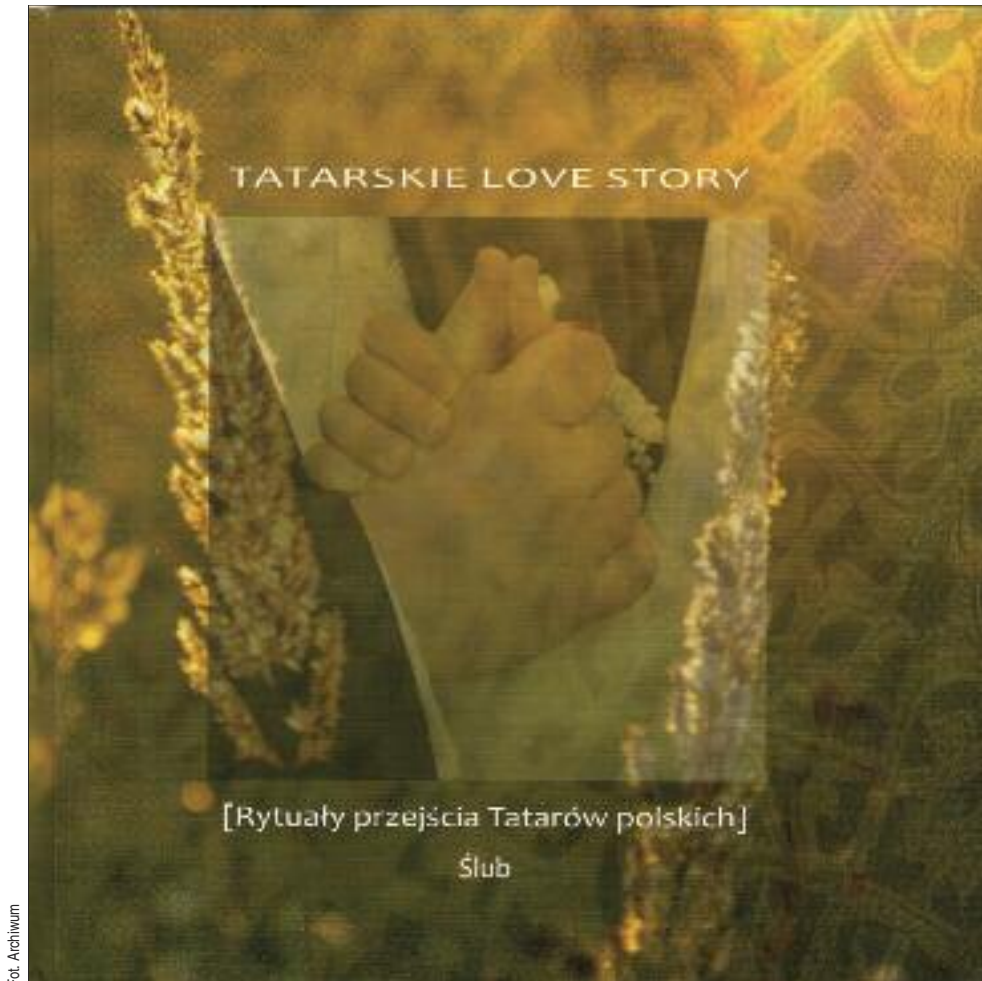
RENATA OCHWAT

Tekst swój oparłam na między innymi książce Aleksandra Ali Miśkiewicza »Tatarzy na Ziemiach Zachodnich Polski w latach 1945-2005«, wspomnieniach ludzi, którzy pamiętają Panią Rozalię Różę Aleksandrowicz oraz na swoich osobistych notatkach ze spotkań z Nią.

Jak na ślubach polskich Tatarów bywało

Po wojnie na obrzeżach Gorzowie zamieszkała dość liczna grupa Tatarów.

Dziś pozostała po nich nazwa Górki Tatarskie i zaledwie kilkoro ich potomków, już całkowicie wtopionych w polską społeczność. Ale by pamiętać o Tatarach nie zaginęła, nasza biblioteka gromadzi ich spuściznę i inicjuje badania naukowe. W zbiorach biblioteki znajduje się m.in. książka o oryginalnym tytule „Tatarskie love story”. Dotyczy ona ceremonii zaślubin w religii islamskiej, bo tę wyznają Tatarzy, i obyczajowości tatarskiej nieco przemieszanej z obyczajowością białoruską i litewską, jako że na tamtych terenach przed wojną mieszkali polscy Tatarzy. Książka składa się z dwóch części: opisu ślubnej ceremonii autorstwa Barbary Pawlic-Miśkiewicz oraz bogatego zestawu zdjęć z tatarskich ślubów. Tu kilka z udziałem gorzowskich Tatarów zrobionych na gorzowskich Górkach, m. in. zdjęcie Rozalii (później popularnej pani Róży) i Bronisława Aleksandrowiczów w otoczeniu weselnych gości z 1951 r.



Posag wnosi pan młody

W każdej społeczności ślub jest ważnym wydarzeniem, bo tworzy nową rodzinę, a zamyka okres dorastania zarówno dziewczyny jak i chłopaka. Dawniej u Tatarów bardzo ważna była funkcja swata lub swatki. Były nawet swatki powiatowe i swatki wojewódzkie. To oni dobierali odpowiednich kandydatów do małżeństwa. Tatarskie zasady głoszą, że chłopak może się ożenić z dziewczyną innego wyznania monoteistycznego, a więc chrześcijańskiego lub żydowskiego, ale pod warunkiem, że naręczona zobowiąże się do wychowania dzieci w religii islamskiej. Natomiast dziewczyna nie może wyjść za mąż za wyznawcę innej religii. Zarówno dziewczyna jak i chłopiec nie mogli zawrzeć związku małżeńskiego z Arabami.

Tak więc wybór kandydat na męża lub kandydatki na żonę był dość ograniczony, a pamiętać trzeba także, że polscy Tatarzy byli społecznością niewielką, na ogół spokrewnioną, a męża i żonę nie mogły łączyć bliskie więzy krwi.

Gdy już wreszcie swat lub swatka znaleźli odpowiedniego kandydata dla panny i rodzice go wstępnie zaakceptowali, kandydat składał wizytę w domu dziewczyny i deklarował, jaką kwotę albo jakie dobra - koniecznie - materialne jest gotów dać kandydatce na żonę. W islamie, odwrotnie niż w kulturach chrześcijańskich, to pan młody wnosi posag, a nie panna młoda. W myśl tamtej religii małżeństwo nie jest sakramentem, ale formą umowy społecznej. Znacznie łatwiejszy jest rozwód, ale małżonka z góry musi mieć zabezpieczenie dalszego swojego życia.

Początek w domu pana młodego

Gdy w końcu uznano, że zaplanowany związek można zawrzeć, datę ślubnej ceremonii powinien wyznaczyć imam, czyli duchowny na podstawie wielu tajemniczych zmiennych.

Ceremonia ślubna rozpoczyna się w domu pana młodego tzw. wyprowadzeniem. Biorą w niej udział dwaj jego druźbowie, co naj-

mniej dwóch bliskich krewnych (mężczyzn) i imam. Najpierw stają wokół stołu nakrytego białym obrusem, na którym leży Koran, chleb, sól, szklanka z wodą. Imam wygłasza modły, a po nich bierze lewą rękę pana młodego, inni mężczyźni się przyłączają i tworzą korowód, który kilka razy okrąży stół. Imam w tym czasie recytuje surę, czyli jeden z rozdziałów Koranu. W końcu imam wyprowadza pana młodego i innych mężczyzn, a celem jest dom panny młodej. Pod żadnym pozorem pan młody nie powinien wracać do domu, bo taki powrót zapowiada nieszczęście. Pan młody i uczestnicy zaślubin ubrani są współcześnie, ale muszą mieć na głowie małą, okrągłą czapeczkę misternie haftowaną.

W tym czasie panna młoda zakłada ślubny strój, czyli białą suknię zgodną z obowiązującą modą. Tu obyczaj nie wnosi żadnych ograniczeń.

Gdy pan młody wchodził do domu panny młodej, obsypywano go ziarnem, a jest to zwyczaj przyjęty od Białorusi-

nów. Teraz panie z rodziny panny młodej przekonują pana młodego, że nie wydadzą narzeczonej, jeśli odpowiednio się jej nie wykupi. To polski obyczaj. Wykupem najczęściej były słodczyce. Następnie rodzice błogosławili dzieci, a jest to kolejny zwyczaj przyjęty z polskiej obyczajowości. Potem orszak weselny rusza do urzędu stanu cywilnego, aby nie uchybić prawu, ale tak naprawdę liczy się ślub religijny zawarty po powrocie z urzędu.

Na baraniej skórze

Na stole przykrytym białym obrusem trzeba położyć Koran, chleb, sól, wodę i sadogę, czyli słodką potrawę zrobioną z miodu, mąki i masła, podobną do chałwy. Po dwóch stronach stołu stoją dwaj druźbowie. Z trzeciej strony - imam. Naprzeciwko niego leży barania skóra. Symbolizuje bogactwo i pożywność. Trzeba ją położyć tak, aby młodzi - gdy na niej staną - byli zwrócenii w stronę Mekki. Pierwszy na skórę wchodzi naręczony, potem ktoś z rodziny wprowadza na nią naręczoną, ale koniecz-

nie ktoś, z kim ona nie może zawrzeć związku małżeńskiego, a więc: ojciec, dziadek, brat, stryj. Imam rozpoczyna modlitwy. Trwają one dość długo.

Po ich zakończeniu imam poleca jednej z drużek, aby zaharemiła pannę młodą. Czynność ta polega na zasłonięciu twarzy panny młodej welonem. W tradycji arabskiej pan młody dopiero po ślubie może zobaczyć twarz panny młodej i takie zaharemienie podczas najważniejszego momentu ślubnej ceremonii jest refleksiem tamtych obyczajów. Jak widać na licznych zdjęciach lekki, przezroczysty welon niczego nie skrywa, ale tradycji staje się zadość. Aktu zaharemienia powinna dokonać mężatka żyjąca w szczęśliwym związku, bo to gwarancja szczęścia dla nowej rodziny.

Znowu imam się modli. W tym czasie młodzi chwytają się za ręce w taki sposób, aby spotkały się ich kciuki. Ważne, aby były ustawione równo obok siebie, bo to oznacza równy udział w małżeństwie. O to muszą dbać obie strony. Na pewno nie powinien wystawać kciuk panny młodej. Zdjęcie tak złożonych dłoni zamieszczono na okładce książki. Niestety, jest ono kiepskie technicznie, ale jego wybór dowodzi, jak ważny jest to element zaślubin.

Następnie imam pyta pana młodego, czy chce zawrzeć związek, potem o to samo pannę młodą. Obydwoje muszą potwierdzić taką chęć. Teraz imam zwraca się do świadków z pytaniem, czy słyszeli obie deklaracje i czy nie ma przeciwskażeń do zawarcia związku. Gdy wszyscy odpowiedzą twierdząco, imam prosi o odharemienie panny młodej. Gdy welon zostanie podniesiony, imam na talerzyku lub tacce podaje obrączki. Najpierw mężczyzna wkłada obrączkę na rękę kobiecie, potem kobieta mężczyźnie. Obydwoje wypowiadają oświadczenie, że wступują w związek małżeński. Przyrzeczenie obejmuje wierność i prawdomówność, a także: „Oświadczam, że będę troskliwym, kochającym mężem / żoną i będę troszczyć się o ciebie przez całe nasze życie”. Po

przyrzeczeniu śpiewa się odpowiednią pieśń i znów recytuje modlitwy. Ślubną ceremonię kończy podzielenie sadogi, czyli słodkiego deseru, a każdy uczestnik zaślubin musi zjeść ofiarowany mu kawałek. Natomiast młodzi zjadają po kawałku chleba, który leżał na stole podczas ceremonii, i piją po dużym łyku wody.

Uczta bez wieprzowiny

Potem jest wesele, czyli uczta, zabawy i tańce do białego dnia, teraz najczęściej w restauracji. Tatarzy dbają, aby na stołach nie było wieprzowiny, natomiast ich ulubione potrawy to pierożki, czerniki z mięsem, serem i rodzynkami, kołduny lub bułki drożdżowe. Tu też widać refleksy kuchni białoruskiej i litewskiej.

O północy odbywa się obrzęd oczepin, ale raczej symbolicznej formie.

Każdy ślub jest ważną uroczystością, więc wszyscy goście weselni występują w uroczystych strojach, współczesnych, modnych. Tatarzy nie mają rytualnego ubioru. Podczas uroczystości zaślubin panowie powinni mieć na głowach małe, okrągłe czapeczki. Później mogą je zdjąć.

W opisaney ceremonii jest wiele elementów tradycyjnych, ale również dużo współczesności. Przemiany strojów i wyglądu weselnych sal można oglądać na zdjęciach w drugiej części książki, gdzie zamieszczono stare zdjęcia, ale także najnowsze, dokumentujące żywotność opisanego obyczaju. To bardzo interesująca część.

■ ■ ■

„Tatarskie love story” [Rytuał przejścia Tatarów polskich]. Ślub. Oprac. tekstu Barbara Pawlic-Miśkiewicz, zespół redakcyjny: Barbara Pawlic-Miśkiewicz, Anna Mucharska, Lilla Świerblewska. Wyd. Muzułmański Związek Religijny w RP, Najwyższe Kolegium Muzułmańskie. Białystok 1438/2016. Korzystałam z egzemplarza z Działu Zbiorów Regionalnych Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

AJP dla dostępności

Temat dostępności w naszej uczelni jest znany od lat.

Już ponad dekadę temu został powołany w Akademii Pełnomocnik ds. osób z niepełnosprawnościami, a studenci wszystkie sprawy związane z funkcjonowaniem osób z niepełnosprawnościami w środowisku akademickim mogą zgłaszać do Akademickiego Centrum Wsparcia. Początkowo były to działania doraźne. Gdy pojawiał się problem - my szukaliśmy rozwiązania. Teraz przybiera to formę bardziej ustrukturyzowaną. Niewątpliwą pomocą w tych działaniach są Ustawa o zapewnieniu dostępności - dająca konkretne wskazówki, jak ma wyglądać zapewnienie dostępności w placówkach publicznych, oraz udział w projekcie „Akademia równych szans” - zwiększenie dostępności AJP dla osób z niepełnosprawnościami, finansowanej z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Zarówno ustawa o dostępności, jak i wygrana w konkursie sprawiają, że nasze działania mogą być bardziej profesjonalne. Oczywiście już wcześniej dokładaliśmy wszelkich starań, aby uczelnia była miejscem przyjaznym studentom z niepełnosprawnościami, którzy postanowili zdobywać wiedzę w Akademii, jednak teraz podejmujemy takie działania, które na chwilę obecną nie są konieczne, ale niewątpliwie są potrzebne. Naszym celem jest, aby nazwa „Akademia równych szans” nie była tylko nazwą projektu, ale rzeczywistością.

Architektura

Zmiany architektoniczne są istotnym, choć nie najważniejszym działaniem w zakresie dostępności, ja-



kie podejmujemy. Staramy się, by nasza uczelnia była uczelnią otwartą i aby każdy, kto zdecyduje się stanąć w jej progach, miał taką możliwość. Dlatego też budujemy windy, zniżamy krawężniki, remontujemy i dostosowujemy toalety, a nawet zmieniamy drzwi tak, aby ich otwieranie nie sprawiało kłopotu. Przyznajemy, że architektura, mimo iż w kwestii dostępności zdaje się najłatwiejsza do zmiany, dla nas staje się wyzwaniem. Dlaczego? Ponieważ część naszych budynków podlega konserwatorowi zabytków, a to wymaga od nas elastyczności i kreatywności w szukaniu rozwiązań. Dodatkowo chcemy,

aby nasze budynki oprócz łatwości w poruszaniu się były bezpieczne. Dlatego naszym priorytetem jest zakup krzesełek ewakuacyjnych oraz cykliczne przygotowywanie pracowników do ich obsługi.

Dostępność cyfrowa

Nieustannie pracujemy także nad zmianą strony internetowej oraz naszych profili w mediach społecznościowych do wymogów WCAG 2.0. Nad częścią zmian jeszcze pracujemy, ale już udało nam się kilka wymogów wprowadzić w życie. Dostosowaliśmy treści tak, aby miały odpowiednie czcionki (bezszerzyfowe) i wielkości. Do publikowanych

filmów dodaliśmy napisy i tłumaczenie w polskim języku migowym, by wspomóc osoby głuche i z trudnościami w komunikowaniu. Załączane do treści zdjęcia są przez nas opatrywane tekstem alternatywnym (opisem zdjęcia/grafiki), aby osoby słabowidzące i niewidome mogły za pomocą aplikacji odczytującej uzyskać informacje o treści zawartej w obrazie. Teraz naszym priorytetem jest przygotowanie dokumentów w wersji cyfrowej, by ich wypełnianie było maksymalnie proste i dostępne.

Komunikacja i informacja

Podstawową sprawą w zapewnieniu komunikacji oso-

bom o specjalnych potrzebach jest zorientowanie się i umożliwienie nawiązania kontaktu z Uczelnią w sposób preferowany przez daną osobę. Dlatego z Akademickim Centrum Wsparcia Osób z Niepełnosprawnościami można skontaktować się poprzez e-mail, połączenie telefoniczne, SMS/MMS, komunikatory mediów społecznościowych oraz w formie videorozmowy. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nie każda osoba ma możliwość rozmowy telefonicznej, która do tej pory była najczęściej proponowanym sposobem komunikacji, dlatego staramy się być dostępni poprzez wiele kanałów. Kolejnym krokiem ku lepszej komunikacji z pracownikami Akademii będzie montaż pętli indukcyjnych wspomagających słyszenie osób niedosłyszących, co mamy nadzieję poprawi działanie dziekanatów i innych jednostek.

Świadomość

Prawdą jest, że wszystkie wymienione działania spełzną na niczym, jeśli nie zajdzie najważniejsza zmiana, czyli zmiana naszego myślenia. Koniecznym jest, abyśmy wyrzucili ze swojego słownika takie wyrażenia jak: „nie da się”, „po co?” i najczęściej powtarzane „przecież nie mamy osób z daną niepełnosprawnością w naszej instytucji”. To ostatnie często jest prawdą, ale gdyby tak odwrócić to zdanie i zamiast myśleć, że nie ma potrzeby dostosowania, bo nie ma beneficjenta tego działania, pomyślnie, że prawdopodobnie go nie ma, bo jesteśmy niedostosowani. To bardzo zmienia perspektywę i powoduje, że

działamy zapobiegawczo. Nie jest tajemnicą, że osoby ze specjalnymi potrzebami zwykły sobie przekazywać informacje, gdzie warto iść, bo dane miejsce jest na nich otwarte i mogą się w nim samodzielnie realizować. Budowaniu świadomości sprzyjają także cykliczne szkolenia kadry naukowej i pracowników administracyjnych, na których uczestnicy mogą dowiedzieć się, jakie działania podejmować w obliczu konkretnych wyzwań dostępności oraz rozwiązań w wątpliwości.

Dostęp alternatywny

Pracy w świetle ustawy o dostępności jest bardzo dużo. My jesteśmy w nieco lepszej pozycji, gdyż działania na rzecz studentów z niepełnosprawnościami dla Władz Uczelni oraz Akademickiego Centrum Wsparcia zawsze były priorytetem. Dzięki temu pewne działania są już wdrożone, inne są w przygotowaniu. Niektóre warunki dostępności spełniamy w sposób dostępu alternatywnego (czyli zapewnienia dostępu jednak nie na zasadach równych z innymi użytkownikami), jednak mamy jasno wytyczone cele, do których dążymy. Wierzymy, że dzięki zaangażowaniu pracowników i studentów Akademii im. Jakuba z Paradyża, uczelnia ta stanie się miejscem kojarzonym z otwartością i dostępnością, a przyszli studenci i pracownicy będą mogli z radością korzystać z wypracowanych przez nas rozwiązań.

AGATA ZAWADZKA
AKADEMICKIE CENTRUM
WSPARCIA OSÓB Z
NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI
AKADEMIA IM. JAKUBA Z
PARADYŻA



Akademia im. Jakuba z Paradyża

Studuj z nami - bo warto!

tel.: 95 721 60 22

www.ajp.edu.pl

e-mail: rektor@ajp.edu.pl

Bronisława Wajs-Papusza

Uchodzi za jedną z niewielu na świecie (może nawet jedyną) samorodną poetkę wśród Romów.

Z maleńkiego gorzowskiego panteonu - spośród tych, którzy ważnymi dokonaniem zapisali się w ogólnopolskiej kulturze - największy rozgłos zyskała postać najmniej w gruncie rzeczy gorzowska - Papusza. To prawda, że spędziła wśród nas spory fragment swego życia, grubo ponad ćwierć wieku. Ale część ani nie najdłuższą, tę bowiem wypełniło koczowanie, ani nie najważniejszą dla dorobku artystycznego, bo wszystkie, lub prawie wszystkie, pieśni ułożyła wcześniej, przed osiedleniem się nad Wartą. W jej wierszach brak jakiegokolwiek śladu Gorzowa, gdyż lud z którego się wywodziła w ogóle nie znał przywiązania do konkretnego miejsca na ziemi: jego własnością było wszystko wokół, a anonimową i krótkotrwałą - na parę dni, na czas postoju taboru - namiastką tego, co patetycznie nazywamy ojczyzną, stanowiła każda przestrzeń pod słońcem. Powiedzieć tedy można - z pewnym, łatwo dającym się wybaczyć, uproszczeniem - że twórczość Papuszy zostaje bez wyraźnych związków z naszym miastem. Ani się tu urodziła, ani nawet nie została w nim pochowana.

A mimo to słusznie szcycimy się Papuszą, chętnie ją do gorzowskiej historii wpisujemy, upamiętniając tablicami, nazywając jej imieniem ulice. Jakie mamy do tego prawo? Czy daje je bałwany w końcu fakt, że tu mieszkała, gdy ukazały się jej tomiki? Czy to, że do Gorzowa była przypisana, kiedy została członkiem ZLP? No bo cóż, mówiąc szczerze, poza tym? Co takiego szczególnego uczyniło dla niej miasto, w jaki sposób wspomogło, ułatwiało codzienną egzystencję, aby teraz unikalny dorobek cygańskiej poetki dla siebie anektować? Nie będzie odpowiedzi na te pytania, bo nie w tym celu zostały postawione. Raczej po to, aby pobudzić refleksję, jak łatwo każda społeczność zawłaszcza sobie zasługi jednostki, jak rzadko zaś wspiera ją, choćby pośrednio, w realizacji ambicji, których najudatniejzszymi owocami dekoruje później własną historię. Dotyczy to w zasadzie każdego - nauczyciela, inżyniera, artysty. Jednak w przypadku Papuszy - osoby z najwyższym trudem oswojającej inną, nową a obcą, rzeczywistość i z tego powo-

du niemal zupełnie wobec bezdusznych realiów nieporadnej - pytanie to przybiera wymiar wręcz symboliczny.

Cokolwiek wiązało się z Papuszą - wszystko wokół jej postaci, życia, wierszowania - od początku otoczone było gęstą atmosferą zagadki. Cygańska mentalność, surowa obyczajowość, odmienność ukorzeniona w twardej prawach egzystencji niełatwo poddają się naszemu szkieletu i oku. Bo też miary do nich stosowane ułożone są wedle wadliwych kryteriów, według naszych mniemań i schematów. Ludziom z zewnątrz trudno wczuć się w psychikę wyrosłą z taboru, zrozumieć zjawiska naturalnie mu towarzyszące, pojąć całą egzotyczną dla innych kulturową otoczkę, dzięki której Romowie, wszędzie izolowani, zawsze odrzucani, nie rzadko nawet pogardzani, przetrwali stulecia, zachowując godne pozazdroszczenia poczucie wzajemnej bliskości i etnicznej wspólnoty. Atrakcyjniejsze pisać o klanowych przesadach, rytualnych odwetach, irracjonalnych uprzedzeniach, wrogości wobec obcych. Impresje licznych autorów, jakie wywołali ze spotkań z samą Papuszą bądź z jej otoczeniem, na takich założeniach konstrukcyjnych z reguły bazowały i dodatkowo gmatwały sytuację. Ich docieklivość rzadko mogła być, i rzadko też bywała, zaspokajana, w pustych miejscach wpisywali więc półprawdy, domysły, które wyjaśnieniu czegokolwiek bynajmniej nie służyły. Naniżane, niczym paciorki różnobarwnych koralików, na jeden wspólny sznur, komponowały legendę Papuszy, pełną tajemniczych zaułków i wieloznacznych zawiloci, karmiły publiczność niezdrowymi domniemaniami, udawanymi niedomówieniami.

Zdarzyło mi się niegdyś, kilkanaście lat temu, leżeć w poznańskim szpitalu w jednej sali z jakimś prominentnym, starszym już Cyganem. Musiał to być ktoś bardzo ważny w tym kręgu, bo o każdej porze dnia, a nieraz także w nocy, defilowały przed łóżkiem tabuny współbraci, na jego stoliku piętrzyły się delikatesy znane mi jedynie z telewizji, mężczyźni wysłuchiwali jego uwag wysztymnieni w baczność, w pozycji zdradzającej niekwestionowany szacunek, leciwie Cyganki na odchodne całowały rękę dostoj-



Życie i twórczość Papuszy opisano już na różne sposoby, a mimo to pozostaje wciąż tajemniczą

nika. Kiedyś, jak twierdził, mieszkał w Gorzowie i z tego rzekomo powodu traktował mnie bardziej przyjaźnie, niż pozostałych towarzyszy niedoli, dawał proste - tyle, że dla skromnie uposażonego naukowca zgoła niewykonalne - wskazówki, jak zapewnić sobie lepsze traktowanie przez personel, bo sam traktowany był jak udzielny książę. Zagadnąłem go w pewnym momencie o Papuszę, powołując się na znajomość z nią, zachwycając się jej poezją, i nagle jego wyraźna dotąd sympatia uleciała, skończyło się dzielenie frykasami, a ja nie śmiałem dociekać powodów, zapytać o przyczyny nieoczekiwane go zwrotu. Przypisałem je, po prostu, niechęci cygańskiego środowiska do Papuszy, choć w rzeczywistości może o coś zupełnie innego szło. Tak rodzą się mity.

Dwa są zasadnicze ogniwa legendy Papuszy. Jedno - to pierwszorzędne - powstało bodaj ze zdumienia. Z zadziwienia poezją dojmującą świeżą, niebotycznie prawdziwą, odległą od jakichkolwiek konwenansów obecnych we współczesnej poezji. Papuszą była poetką samorodną - jeśli temu, wypolerowanemu przez nadużywanie określeniu przywrócić niegdysiejszy sens - w najpierwotniejszym znaczeniu. Innej poezji, poza swoim i swych leśnych braci śpiewaniem nie znała, nigdy się jej nie uczyła, nikogo i niczego nie mogła więc naśladować. Chyba nie do końca zdając sobie sprawę ze swego poezjowania - a przynajmniej niezupełnie dowierając w wartość własnych pieśni, co ustawicznie, bez cienia minoderii, podkreślała w obfitej korespondencji z Julianem Tuwimem - intuicyjnie sięgała po cygańskie ar-

chety, nadając im bardzo osobiste wcielenie poetyckie. Prostota skojarzeń ocierająca się często o naiwność, metaforyka człowieka uboższego w słowa, pewna nieporadność w zestawianiu pojęć abstrakcyjnych, brak wyrobienia w ustawianiu słów we właściwym porządku - wszystko to dało efekt niespotykany. Jej wiersze są wzruszająco autentyczne: gdyby zawierały choć odrobinę fałszu, natychmiast znalazłyby się poza - w tym wypadku zupełnie wyraźnie się rysującą - granicą poezji, w obszarze pospolitego wierszoklectwa, do którego odnosilibyśmy się z takim samym lekceważącym dystansem, jak do bezguścia częstochowskich rymów, sztuczności cepeliowskiego folkloru.

Szczerze sięgająca calizny duszy decyduje o uroku i emocjonalnym ładunku pieśni Papuszy. Drugie ogniwo legendy ukute zostało z innego materiału i zupełnie sfery artystycznej nie tykało. Na fenomen społecznej popularności Papuszy złożyła się wyjątkowość polstaci oraz egzotyka świata, który reprezentowała. Niewiele ważyła tutaj sama sztuka poetycka, choćby najwspanialsza, pobudzała natomiast wyobraźnię przede wszystkim nietypowość osoby i atmosfera tajemniczości, którą karmiła się wszelkie mity a bez której istnieć zupełnie nie mogą. Pod tym względem zainteresowanie cygańską poetką przypominało nieco niezwykłą karierę krynickiego Nikifora. Z tą wszakże różnicą, że Krynickich mogły być dziesiątki, wystarczyło obwołać kogoś Nikiforem, opleść woalem zagadki i tak spreparowanego oddać w

obróbkę mass mediom, a te już same potrafiły wylansować bohatera. Papusza była wprawdzie jedna, jedyna i niepowtarzalna, lecz mimo to również i ją usiłowano poddać nikiforyzacji.

A zagadek - tych rzeczywiście, i tych urojonych - doszukiwano się na każdym kroku. Ileż sensacyjnych rzekomo incydentów zdołano wydobyć z dosyć banalnego, w gruncie rzeczy, życiorysu Papuszy? Często błahych - jakieś areszty za kradzież kury, jakieś wyroki za przywłaszczenie królików - jakby to równie bulwersujące zachowania były czymś zupełnie wyjątkowym wśród naszej artystycznej bohemy, jakby nie znano narkotycznych wizji Witkacego, chorób Wyspiańskiego, pijaństwa Gałczyńskiego, seksualnej odmienności Gombrowicza i tych wszystkich trwałych lub chwilowych ludzkich słabości, od których nikt nie jest naprawdę wolny. Cóż więc wspólnego ma cudza kura z nośnością poetyckiej strofy? Niekiedy zwyczajnie nieludzkich, barbarzyńsko wkradających się w najintymniejsze obszary, jak budowanie klimatu sensacji wokół chorób i stanu psychicznego Papuszy. Kiedy brakowało sensacyjnych faktów sięgano po zagadki wyimaginowane: taki posmak miały namiętnie rozbudzone, bzdurne - wbrew oczywistym dowodom - wątpliwości, czy Papusza w ogóle umiała stać literę, bądź cyniczne podejrzenia i spekulacje na temat roli Jerzego Ficowskiego - odkrywcy talentu Papuszy, tłumacza i wydawcy, tego któremu polska kultura zawdzięcza przyswojenie poezji Cyganki.

Ale najwięcej, bez wątpienia, mitów zrodziła reakcja własnej społeczności na

publikację wierszy Papuszy, czym naruszyła ponoć odwieczne tabu, zdradziła najświętsze tajemnice, odkrywając je przed profanami i kary, jaką wymierzyła jej surowa moralność Romów: barwnie opisywano najdziwniejsze prześladowania ze strony współbraci, malowano clichee obrazki wozu wyklętej poetki wlokącego się samotnie kilkaset metrów za tabor. Im bardziej usiłowano dociec prawdy, rzekomo innej niż ta, jaka się publicznie jawiła, tym bardziej gęstniał, świadomie lub mimowolnie tkany przez autorów, woal niedomówień, realia mieszały się z mistyfikacjami, fakty z wytworami fantazji.

Czy jest doprawdy wielką tajemnicą życiorys Bronisławy Wajs, zwanej Papuszą, mimo iż sporo w nim miejsc rzeczywiście pustych, niezbyt jasnych? Urodziła się w początkach naszego stulecia: w jego pierwszej dekadzie bądź na początku drugiej - w 1908 lub 1910 roku. Ponoć 17 sierpnia - stwierdza część biografów poetki, którym pozazdrościć można jedynie pędu do precyzji, bo przecież nie historycznej zasługi ustalenia prawdy. Równie jednak dobrze mogła przyjść na świat pięć lat wcześniej, lub pięć lat później, w maju lub w październiku. Nie posługiwało się wtedy kalendarzem z takim jak dziś pietyzmem, całkiem o podobne drobiazgi nie dbano, co dla nas, zmagających się z każdą mijającą godziną bywa niezrozumiałe. Tradycji ludowej wystarczały w zupełności pory roku, data Bożego Narodzenia i Zmartwychwstania Pańskiego, dzień lokalnego odpustu czy jarmarku w okolicznym miasteczku. Tak było wśród osiadłego, a więc ustabilizowanego ludu wiejskiego. Ojciec mój - niemal równolatek Papuszy - posługuje się trzema różnymi datami urodzin: inna figura w księgach parafialnych, inną ma w dowodzie osobistym, kiedy indziej, jak twierdzi, urodził się faktycznie. A przecież pochodzi z samej Małopolski, z wioski o przebogatej tradycji, kulturowo otwartej, w której nie brakowało inteligencji. To tylko przykład z jaką mądrą, naturalną niefrasobliwością traktowano wtedy upływ czasu, którym obecnie jesteśmy zniewoleni. W koczujących taborach, wśród ludu zazwyczaj niepiśmienenego, bieg zdarzeń stawał

- córka ziemi leśnej

się tym bardziej płynny. Skąd się więc u Papuszy wzięła tak dokładna data? Przypuszczam, że przypadkowo. Kiedy władze państwowe postanowiły nadać Cyganom jakieś dokumenty identyfikacyjne i we wniosku o dowód należało coś o urodzeniu napisać, coś - po prostu - zapisano. Czy sama Papusza taki właśnie rok podała - a jeśli, to wedle jakich wydarzeń zdołała go wyliczyć, jakim sposobem do niego doszła? - tego nikt już nie ustali. Czy może - przecież nie sposób tego wykluczyć - wyręczyli ją usłudzy urzędniczy? Równie bodaj przypadkowo stwierdzono oficjalne miejsce urodzenia: być może Lublin (jak stoi w karcie zgłoszenia do Związku Literatów Polskich) lub Grodno, albo też Płońsk w okolicach Warszawy. Poczucie rzeczywistości przestrzennej, geograficznej było także zwodnicze: pod Warszawą, wedle słów samej Papuszy, mieszkać miał swego czasu jej syn. Naprawdę mieszkał w oddalonych o dwieście kilometrów od stolicy Starachowicach lub jeszcze bardziej odległym Busku. Prawdziwie byłoby więc napisać, że urodziła się gdzieś - że w tabore, może wśród pól, może na leśnej polanie - lecz takiej okoliczności biurokracja w swych kwestionariuszach przecież nie przewidziała.

Nie byłyby warte uwagi te metrykalne dociekania, gdyby nie wynikał stąd inny, bardziej nawet pouczający fakt. Ten mianowicie, że grzechem powszednim większości piszących o Papuszy jest ocenianie wszystkiego, co z nią związane wedle naszych systemów wartości, posługiwanie się przynależnymi normami: życia widzianego przez pryzmat zasiedziały mieszczuchów, poezji branej według kryteriów ludzi wykształconych na Kochanowskim, Mickiewicz, Norwidzie, i przez taki właśnie filtr doświadczeń oraz standardów cywilizacyjnych zmierzającego się dwudziestego wieku, postrzegamy również Papuszę. A one przecież nie zawsze i nie całkowicie obowiązywały poetkę wyrosłą w innym, mimo wszystko, kręgu kulturowym.

W 1950 roku wóz Papuszy i jej męża, Dionizego Wajsa, zatrzymał się w Żaganiu. Cyganka zaniechała wędrowki, osiedliła się i - zachęcona przez życzliwych - zaczęła spisywać swe liry-



Bezценne wręcz pamiątki po Papiszy trafiły do gorzowskiej biblioteki

ki. Wszystko, lub niemal wszystko, co zostało wówczas utrwalone, a co w spolszczeniu udostępnił nam Jerzy Ficowski, stanowi dorobek tamtych czterech niespełna lat - pozostałość pierwszego okresu osiadłego życia. Ale przecież nikt nie staje się poetą z dnia na dzień, Papusza ów boski dar wrażliwej natury zawsze nosiła w sobie, pieśni tworzyła od dawna. Nucila je podczas taborowych wędrowek, na postojach, przy ognisku. Zawierzone jedynie pamięci, milkły szybko, bezpowrotnie. Teraz, po prostu, skorzystała z dobrodziejstwa, które zresztą nie do końca poznała - z alfabetu - i niewyrobionym, koślawym pismem utrwaliła wiersze na papierze. Tłumaczyła później zażenowana, iż robiła to wyłącznie dla siebie i może nawet tak rzeczywiście myślała. W istocie jednak miała nimi obdawać innych.

Trudny to był dla Papuszy okres. Bodaj najtrudniejszy, i kluczowy, ważący na całej przyszłości, na wszystkich niezbyt licznych jej urokach i jakże mnogich dolegliwościach. Nowego życia - nagle spętanego cudzymi normami, wyznaczanego szachownicą hałaśliwych ulic w miejsce cichych leśnych duktów, szarżyną bloków zamiast zieleni wokół, sąsiedztwem obcych zamiast dobrze znanych po bratymców - uczyć się należało od początku. Uciekała tedy w świat pieśni zawierających intymne obrazy czasu minionego i wyznanie nostalgii za czymś utraconym, czego inaczej przywołać już niepodobna. Pieśni koły ból, uwalniały duszę od tęsknoty do pachnącego lasu, do ognis-

ka skrzącego się muzyką, pozwalały przenosić się w umiłowany, lecz przecie iluzoryczny tylko wymiar cygańskiego taboru, pozwalały wyobraźni malować na nowo obrazy dawno zakończone. Nieznośne życie czyniły znośniejszym.

Papusza raz jeszcze spróbowała smaku wędrowki - wróciła do taboru w 1953 roku. Nie były to jednak lata przychylnie cygańskiemu kocowaniu. Po jednym sezonie osiadła w Gorzowie. Tym razem, jak się potem miało okazać, już na stałe. Ale nie do końca chyba pozbyła się nadziei, że kiedyś wróci na szlak. Wajsowie zatrzymali wóz i konika: gdy przygrzewało wiosenne słonko, Dionizy zaprzęgał szakę i ruszał z Papiszą w drogę, która dla nich ciągle stanowiła istotę radosnej egzystencji, a którą my markotnie nazywamy tułaczką. Z czasem wyprawy stawały się coraz rzadsze, coraz krótsze, wreszcie ustały w ogóle. Ich namiastką bywały teraz wypadki za miasto, na rozległe podgorzowskie pola, do okolicznych wiosek. Ale nawet i to musiało się skończyć, kiedy zdrowie przestało dopisywać. Schorowanej Cygance pozostały już tylko spacerki do miejskiego parku i stąd pamiątki ją najlepiej.

W Gorzowie też zaniechała układania, czy raczej zapisywania swoich pieśni. Tutaj przeżyła moment o którym marzy każdy, kto świadomie ima się pióra - ukazanie się własnej książki. „Pieśni Papiszy” dały jednak poetce więcej bólu niż radości, przyniosły ogólnopolski rozgłos i sromotę wśród swoich. To najbardziej dramatyczny rozdział jej życiorysu. Przez lat kilkanaście stawiano tu i

ówdzie uporczywie pytanie, czy poetka odezwie się jeszcze. Czy papierowym kartkom powierzy strofy dla siebie tylko szeptałne, skazywane na zapomnienie w momencie po narodzinach? Lata mijały, a wraz z nimi topniały nadzieje. Jesienią 1970 roku nagle przemówiła. Były to jedyne wiersze spośród tych, które stworzyła w Gorzowie i które ujrzeć miały światło dzienne: J. Ficowski opublikował je na łamach „Współczesności”, potem dołączył do wcześniejszych, wydając drugi, i ostatni zarazem, tomik. Ponoć zapisała znacznie więcej - podaje się raczej nieprawdopodobną liczbę trzystu wierszy - ale w przypływie nerwowego załamania rzuciła wszystkie w ogień. Kolejny mit? W każdym razie kolejna zagadka.

Bolesne doświadczenia z przeszłości - szok zmiany stylu życia, który zwiemy cywilizacyjnym, niechęć współbraci, kłopoty rodzinne - wrażliwa Papusza okupiła chorobą. Osamotniona w Gorzowie, przeniosła się do siostry, do Inowrocławia i tam 8 lutego 1987 roku, w niedzielę wieczorem, odeszła. Rozpływający się w nieznanym początek trudnego, lecz pięknie zapisanego życia, znalazł swą antytezę oznaczoną z typowo dwudziestowieczną precyzją.

Z Papiszą rozmawiałem zaledwie parę razy. W początkach lat siedemdziesiątych, blakając się po Gorzowie z upokarzającym wówczas, a niezawinionym cenzurem bezrobotnego inteligenta, dorabiałem pisanie do gazet i audycjami dla zielonogórskiej sensację: po wielu latach milczenia Papiszy miał się ukazać nowy tomik jej wier-

szy - „Pieśni mówione”. Radio zaproponowało mi przygotowanie okolicznościowego materiału przypominającego poetkę, która zawsze zapomnienia raczej szukała, niż rozgłosu. Nie wiem, dlaczego właśnie mnie, nieopierzonemu terminatorowi. Może dlatego po prostu, że byłem na miejscu, może szło o sprawdzenie w banalnym, rzecz tak można, temacie: banalnym, bo o cygańskim fenomenie pisali wówczas wszyscy tujejsi ludzie pióra i każdy z lubuskich dziennikarzy miał zaliczoną przynajmniej jedną rzecz o Papiszy, a Tadeusz Kajan, szef regionalnego radia, bodaj najwięcej. W każdym razie czułem się zaszczycony, bo zlecenie schlebiali młodzieńczej próżności. Rozmowa zupełnie się jednak nie kleiła, Papusza była podenerwowana, nerwowo kręciła się po niewielkim mieszkaniu, zbywając mnie półśłówkami. Gdzieś tam chyba szykowała się do wyjścia, a może miała jeden z tych dni, w których człowiek pragnie być sam, a wtedy nawet szelest liści traktuje jak intruza. Wiedziałem, że dziś niczego nie zwojuję: chciałem przerwać niezręczną sytuację i uciec stąd jak najszybciej. Umówiliśmy się nazajutrz i to nazajutrz miało się powtarzać parokrotnie: przychodziłem o ustalonej porze i odchodziłem niepyśny, zastając zamknięte drzwi. Być może nawet sielidziła w środku, ja zaś nie chciałem być natarczywy. Wreszcie za czwartym czy piątym razem otworzyła, i - co za ulga - powitała mnie, jak dobrego znajomego, choć ani słowo o puszczonej terminach nie padło. Przy Kosynierów Gdynskich przesiedziałem wtedy parę godzin. Rozmowę o sprawach całkiem przyziemnych, mimowolnie przetykała od czasu do czasu wynurzeniami o jakiejś niesamowitej wewnętrznej melodii, o samoistnie poetycznych skojarzeniach. Miała zdumiewający dar naturalnie natchnionego mówienia, jakby na pograniczu białego wiersza, by za chwilę przerwać jego tok i jednym zdaniem o prozaicznych kłopotach wrócić nagle do codzienności. Wsłuchiwałem się w jej głos nie dowierając, że to normalna pogawędka, podczas której nie obowiązuje przecież dbałość o piękne zestawianie słów,

lecz zwyczajna wymiana zdań pomiędzy osobami chcącymi siebie zrozumieć, i taką właśnie Papiszę - mimowolnie poezjującą - zapamiętałem.

Później wielokrotnie jeszcze trafialiśmy na siebie: ja spiesząc goniący przez park Wiosny Ludów do codziennej pracy, ona skulona na parkowej ławce, sycząca się widokiem drzew zielonych, modrej taflą stawu w którym pływały czerwone ryby, wsłuchana w natarczywy jazgot wron i kawek. Nie było w tych spotkaniach niczego, co ubarwiać może reporterską narrację, co nadawałoby jej jakąś dramaturgię. Zwykle ograniczały się do przelotnej wymiany zdań, jakie z siebie wyrzucamy, gdy znajomy nieoczekiwanie zagroździ nam drogę. Krąży wtedy słowa-wytrychy imitujące serdeczność, proteżując zainteresowania cudzym życiem, a w gruncie rzeczy słowa najczęściej zdawkowe i rzekome, bo wyprane z autentycznej treści. Tak też było podczas moich kolejnych z Papiszą spotkań. Zamknięta w sobie, raczej nieufna, nieskora do kontaktów z obcymi, coraz rzadziej mnie rozpoznawała: wiedziałem, jak wyszukuje w pamięci czegoś, co by pomogło zidentyfikować obcego usiłującego nawiązać rozmowę. W końcu przestała odpowiadać nawet na grzecznościowe pozdrowienia. O tym, że opuściła Gorzów dowiedziałem się zupełnie przypadkowo.

PROF. BOGDAN J. KUNICKI

„W przestrzeni tęczy”, Agencja DEJAMIR, 1996 r.

Prof. Bogdan Kunicki

(1946-2017) - wybitny socjolog i historyk z Gorzowa, którego rozprawa doktorska „Sytuacja inteligencji twórczej w mieście średniej wielkości” odbiła się szerokim echem nie tylko w środowisku naukowym Polski.

Był prorektorem i dziekanem w gorzowskim wydziale poznawskiej AWF. Autor wielu prac naukowych i popularnych oraz publikacji dziennikarskich w prasie lokalnej i ogólnopolskiej. Należał do grona uczestników spotkań słynnego „stolika nr 1” w dawnym klubie MPIK.



Na niektóre tytuły jest kolejka czytelników

Ze Sławomirem Szenwaldem, dyrektorem Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie, rozmawia Renata Ochwat

- Panie dyrektorze, czy miniony rok był trudnym dla bibliotekarzy?

- Bardzo trudny, zresztą jak dla nas wszystkich. To był taki rok, który postawił nas przed wyzwaniem, jakich do tej pory nie znaliśmy. Ale to cały świat został postawiony przed takimi wyzwaniami. Muszę powiedzieć, że bibliotekarze szybko się odnaleźli w tej działalności on line i przy zamkniętych drzwiach wejściowych. Byliśmy jedną z pierwszych bibliotek w Polsce, która uruchomiła od razu cykl „Czytanie bez publiczności”. No i mam pewne wrażenie, że inni poszli w nasze ślady. Czytaliśmy to, co akurat było pod ręką. Przecież tego programu nie opracowaliśmy wcześniej, nie byliśmy na coś takiego przygotowani. Zresztą nikt nie był na jakiegoś wirusa, na zarazę. Na początek wzięliśmy prozę Leopolda Tyrmanda, pisarza roku 2020. Czytaliśmy jego książki, rozmawialiśmy o nim. Potem ten Tyrmand poprowadził nas do Zbigniewa Herberta, zaczęliśmy czytać ich korespondencję. Można powiedzieć, że program on line sam się niejako konstruował w toku naszych działań, a potem przyszły już takie planowe działania na naszym Facebooku, na kanale YouTube. A potem nie tylko biblioteki, ale wszystkie instytucje kultury poszły w tę działalność on line. Po jakimś czasie się otworzyliśmy.

- No i jak się biblioteka otworzyła, to przeżyliśmy coś niezwykłego. Ludzie się ustawili w kolejce do biblioteki.

- Tak, to była niesamowita sytuacja. Pamiętam tę chwilę do dziś, kiedy prawie zdążyłem na otwarcie drzwi.

Już musiałem być w masce. I nasze pierwsze słowa - nasi czytelnicy wreszcie są... Cieszymy się, że jesteście.

- To, że ludzie stanęli w kolejce, że pytali o otwarcie, chyba było najlepszym potwierdzeniem sensu pracy i funkcjonowania biblioteki.

- Dokładnie tak. Na co dzień tego nie mamy. Wirus to straszna zaraza. Ale też pokazał coś ważnego. Coś jednak pozytywnego. A mianowicie to, że czytelnicy na nas czekali, a my czekaliśmy na czytelników. Przywitaliśmy się z ogromną radością. Potem przez krótki czas mogliśmy odbywać imprezy stacjonarnie. To był czerwiec. Potem przyszły wakacje. Wówczas imprez jest mniej, ale wypożyczaliśmy książki dalej. Jest nawet jedna filia gorzowska, gdzie latem liczba wypożyczeń rośnie - to jest filia nr 14 przy ul. Wróblewskiego. A potem przyszło ponowne zamknięcie. I tym razem było już ciężko, bo wszyscy myśleliśmy, że raczej z wolną będziemy mogli rozkręcać naszą stacjonarną działalność. A tu zamknięcie i to w czasie jednej z naszych ważniejszych imprez, czyli Festiwalu Literackiego Warto czytać nad Wartą. Ale powiedzieliśmy - nie, nie odpuszczamy. Pomogli nam w tym sami uczestnicy - aktorzy i pisarze, którzy przyjechali do nas. Bo też powiedzieli, że przyjadą do nas do Gorzowa. Nie będą transmitować swoich wystąpień z Warszawy, tylko z naszej biblioteki, tu na miejscu. I to nas wszystkich podtrzymało na duchu. I to było wspaniałe przeżycie. Musieliśmy się technicznie przygotować, zabawić w taką małą telewizję, czyli dwie ka-



S. Szenwald: Statystyczny Polak czyta jedną książkę rocznie

mery, kilka mikrofonów, światła i tak dalej. Cała oprawa techniczna. To było naprawdę duże wyzwanie. Biblioteka i bibliotekarze musieli się w tym odnaleźć.

- Ale w międzyczasie też cały czas pokazywał pan, że przybywa książek, że cały czas czekanie na czytelnika, bo przecież dużo nowości czeka.

- Dla mnie jest to jedna z najważniejszych rzeczy i nad tym trzeba nieustannie pracować. Nowości wydawniczych w bibliotece musi być dużo. Są pewne normy, które dawno zostały w Polsce zapomniane, a ja myślę, że nie możemy opuścić. I musimy do tych norm, wytycznych Światowej Organizacji Bibliotekarskiej dążyć. Nie mówię, że już powinniśmy osiągnąć standard zachodni, bo Polska ekonomicznie do tego zachodu jednak musi nadrobić. Jednak - i tu się pochwalę - bo w tym roku zakupiliśmy ponad 14 tysięcy książek. I to jest rekord. To jest absolutny rekord, z którego się najbardziej cieszę. Bo cieszą się też czytelnicy.

- Rzeczywiście to znakomita informacja dla czytelników.

- Proszę sobie wyobrazić, że w czasie zamknięcia, kiedy my byliśmy w fazie intensywnych zakupów, na te wszystkie książki, które pojawiły się w elektronicznym katalogu, już były rezerwacje. Od razu się czytelnicy zapisywali i tworzyli wręcz kolejki. Na niektóre tytuły w kolejce czeka ponad 300 czytelników. Ale też są kolejki kilkuosobowe. Co też bardzo cieszy.

- O czym to zatem świadczy?

- Ogólnopolskie badanie czytelnictwa wskazuje, że statystyczny Polak czyta jedną książkę rocznie. Ale z drugiej strony widać, że ci, którzy czytają, naprawdę kochają książki. Biblioteki muszą mieć nowości, muszą książki na regałach zachęcać, pachnieć, no i muszą to być nowe tytuły. No i mamy tu dużo, dużo do nadrobienia. Ale ta radość jest tonowana, bo z niepokojem patrzę na rok 2021. Ale trzeba trzymać gardę. Będzie trzeba rozmawiać z organizatorami, czyli urzędami, pod

które podlega biblioteka, bo nie możemy oszczędzać na kulturze. Epidemia pokazała, czego ludzie pragną. Przede wszystkim chcemy zdrowia, ale jeśli jesteśmy zdrowi, to przecież nie dało się w tych czterech ścianach bez niczego wysiedzieć.

- Panie dyrektorze, ale wy jeszcze cały czas wydajecie książki...

- Wydajemy. W 2020 roku ukazało się bardzo wiele tytułów. Taką najciekawszą są „Bajdurki gorzowskie” Stanisławy Janickiej. To pierwsze nasze wydawnictwo ilustrowane. Pojawił się kolejny zeszyt Nowomarchijski, pojawiła się książka związana z Maksem Bahrem. Ukazuje się nadal „Pegaz Lubuski”, choć on line, ale jednak. Przymerzamy się do kolejnych wydawnictw, jest cała długa kolejka. Jednym z najważniejszych wydawnictw w 2021 roku będzie Księga Jubileuszowa na 75-lecie biblioteki.

- Ale też rozszerzyliście ofertę o cykliczne rozmowy pana dyrektora z panem prof. Pawłem Leszczyńskim. I odkrywacie różne ciekawostki dotyczące miasta, jak i regionu.

- Uzyskaliśmy dofinansowanie z Instytutu Książki na cykl Z książką w plenerze, a potem ten tytuł został zmieniony na Podróż z książką. Takie jest zadanie biblioteki, która też spełnia funkcję badania historii regionu czy miasta oraz popularyzowania tej historii. Akurat ta seria, która dotyczy podróży z książką, wynika trochę też z naszych pasji. Profesor Leszczyński interesuje się bardzo historią, a ja z kolei bardzo lubię słuchać historyków, lubię dowiadywać się nowych rzeczy.

Ja nie mam takiej wiedzy, jak pan profesor, zatem ustawiłem się w roli ucznia, który zadaje pytania. Ale przecież właśnie o to chodzi. Bo to powinno spełniać właśnie funkcję edukacyjną. Weszliśmy też we współpracę z Regionalnym Ośrodkiem Debaty Międzynarodowej, czyli z panią prof. Beatą Orłowską i taki cykl Lubuskie Rozmowy u Herberta prowadzimy, czyli cykl rozmów na tematy społeczne, polityczne. Pokazuje to też taki nasz profil, że nie tylko literatura, ale zajmują nas podręczniki akademickie, książka naukowa - takie rzeczy też pokazujemy, promujemy. Pokazujemy to, co się tu w Gorzowie dzieje. A skoro o literaturze mowa, to powiem jeszcze o projekcie Furman. Przygotowujemy się cały czas do zebrania wszystkiego, co Kazimierz Furman napisał. Ale tu jest problem z prawami autorskimi, w każdym razie intensywnie nad tym pracujemy.

- No i jeszcze projekt Papusza....

- Tak, po 24 latach wróciły do biblioteki rękopisy Papuszy, Bronisławy Wajs. No i przede wszystkim chcemy je udostępnić naukowcom, którzy już pytali o taką możliwość. Szczególnie mocne zainteresowanie jest pamiętnikami Papuszy, bo poetka pisała je po polsku. No i jest to rzecz, która do tej pory nie była znana. A ponieważ to po polsku, więc poloniści, antropolodzy, ale i kulturoznawcy - wszystkich tych specjalistów zapraszamy - niech oglądają, niech badają i opracowują. Bardzo chcielibyśmy wydać takie syntetyczne opracowanie całej twórczości Papuszy.

- No to tego wam życzę i bardzo dziękuję za rozmowę.

Ważny rok dla gorzowskiej kultury

Siedziałam długo w nocy i się gapiłam na padający śnieg.

Było cudnie. Ulica robiła się coraz ładniejsza, coraz ciszej było w mieście, krajobraz robił się bajkowy lub jak ze starych zdjęć doktora Kurta Mazura. Gapiłam się, robiłam zdjęcia i tak mi błogo było, aż tu nagle niczym grom z jasnego nieba przyszła myśl błyskawica - toć mamy rok jubileuszowy dla gorzowskiej kultury. Rok ważny, bo po 75 lat istnienia i działania obchodzić będzie wiele instytucji.

I od razu pomyślałam sobie o zaprzyjaźnionej ze mną i FG instytucji, czyli Szkole

Muzycznej I i II stopnia przy Chrobrego. Aż tyle lat i to praktycznie w jednej lokalizacji, co zresztą bardzo dokładnie widać, jak się pod niegdyś ślicznym budynkiem przy Chrobrego stoi. Bardzo wielu absolwentów, w tym znakomici i cenieni muzycy. Niby to było pograniczne miasto, peryferyjne właściwie zawsze, ale jednak i tu kultura szybko przyjechała.

No bo przecież 75. urodziny obchodzi także i Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta - placówka bardzo zasłużona, po wielu różnych perype-

tiach z nazwami i dyrekcjami, dziś w gestii Urzędu Marszałkowskiego. Placówka, która jest jedną ze znaczących na mapie miasta, z osiągnięciami, ciekawymi zbiorami, wśród których są perełeczki i prawdziwe skarby. Też motyw do większego tekstu.

Szacowny wiek osiągnęła także Książnica, czyli Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta. Od kilku lat w nowej siedzibie, o której co niektórzy w tym mieście mieli odwagę powiedzieć, że bu-

dynek jest za duży jak na potrzeby tego miasta. Analfabeci, czy co? Pewno tak, ale w tak szacownym roku alfabetom uwagi poświęcać nie zamierzam. Natomiast książnicy jak najbardziej, tym bardziej, że zwykła biblioteka, jaką ja pamiętam z zamierzchłego dzieciństwa, z paniami w bamboszkach i okularach, które cichaczem dawały dzieciom czytającym całkiem niezłe książki ponoć dla dorosłych, zmieniła się w centrum kultury, centrum z prawdziwego zdarzenia, gdzie goszczą wielkie na-

zwiska, gdzie dzieją się ciekawe debaty na ważne dla regionu sprawy, gdzie naprawdę trudno się nudzić, bo tyle się dzieje. Ale jest to także miejsce - świadek ludzkiej głupoty i zawiści, że przypominę, iż Książnica ma niezwykły zbiór książek, który przed Urzędem Marszałkowskim wysypali zielonogórcy kibole na wieść, iż pieniądze pójdą na rozbudowę właśnie gorzowskiej biblioteki a nie ich stadionu. Tak, tak, książki, w tym poezje Hafiza wymieszane z żużlem...

No i w końcu Teatr Osterwy, też z perypetiami różnymi, też osiągnął szacowny wiek, choć akurat w tym przypadku to wszystko jest nieoczywiste i trudne do dokładnego policzenia, bo zawsze jakieś inne liczby wychodzą. Ale na pewno ma 75 lat historii polskiej.

Czyli jak to cholerstwo zwane covidem odpuści, to rocznicowych imprez będzie od karuzeli. No i jeszcze 10. urodziny FG.... Oj zadzieje się, zadzieje.

RENATA OCHWAT

W każdym z nas jest chęć poznawania

Z Wojciechem Wyszogrodzkim, italianistą, tłumaczem przysięgłym i pilotem wycieczek, rozmawia Renata Ochwat

- Jakim rokiem dla ciebie był 2020?

- Na pewno był ciekawy. Nawet sporo podróżowałem, bo zacząłem od sylwestra w Wenecji, Weronie i Padwie. Później był wyjazd do Włoch śladami włoskiej motoryzacji. Pojechaliśmy do fabryki Ferrari, dokładnie do muzeum Ferrari w Modenie i Maranello. Byliśmy również w Pizie, gdzie w okolicy jest muzeum skutera Vespa. Czyli jeszcze w lutym byłem we Włoszech. A potem była przerwa i potrwiała ona do połowy lipca, kiedy to udało mi się poprowadzić sześć wycieczek sycylijsko-maltańskich. I tak oto w październiku sezon się skończył. Oczywiście, to był zupełnie inny sezon turystyczny, niż typowe do tej pory. W przypadku Włoch zwykle jest tak, że startujemy w weekend majowy i wracamy do Polski na początku października. W tym roku tych wycieczek było zdecydowanie mniej, ale miałem szczęście, że udało mi się parę razy wyjechać.

- Jak to się stało, że zostałeś pilotem?

- Chciałem spożytkować wiedzę, którą wcześniej musiałem nabyć, a potem przekazywałem ją moim studentom na italianistyce w kilku uczelniach. No i chciałem zobaczyć te miejsca, o których opowiadałem na zajęciach, zwłaszcza kiedy miałem zajęcia z historii Włoch od czasów zjednoczenia do współczesności, w tym te dotyczące mafii sycylijskiej. I tak się akurat złożyło, że udało się i - mam nadzieję - nadal będzie jak najdłużej te miejsca oglądać. Od 2017 r. pracuję dla biura Rainbow i właśnie z turystami z tego biura te włoskie zakątki oglądam. Odkrywaniem Italii w większym gronie zajmowałem się jednak już wcześniej: gdy pracowałem jako wykładowca w różnych miastach, starałem się zorganizować jakiś wyjazd ze studentami, taki naukowy, najczęściej w ferie zimowe, właśnie po to, aby zobaczyć te miejsca, o których się uczyliśmy. Były zatem podróże szlakiem włoskich produktów, zjednoczenia, neapolitańskich Burbonów czy tokańskich artystów. Nieco inaczej zaczęła się moja przygoda z Sycylią. W sumie nigdy nie spodziewałem się, że tam trafię, a jednak stało się to w 2018 r. Razem z byłymi już studentami gorzowskiej PWSZ zastanawialiśmy się, gdzie wybrać się, by uczcić piątą rocznicę ich wyjazdu na Erasmusa w Salerno. W ankiecie wygrała Sycylia. Aby jak najlepiej poznać Katanę i



W. Wyszogrodzki: Każdy ma jakieś wyobrażenie wycieczki, na którą wyjeżdża

Palermo, skorzystaliśmy z pomocy profesjonalnych lokalnych przewodników. Trzeba przyznać, że nawet zimą Sycylia może być urokliwa. Dwa miesiące po powrocie do Polski okazało się, że Rainbow chce wysłać mnie właśnie na tę wyspę. I tak to się zaczęło. Pamiętam jak dziś: lądowanie w Palermo, pierwsza wycieczka połączona z Malcią... zmiana programu z powodu złych warunków atmosferycznych na morzu. Zamiast Malty mieliśmy zwiedzanie pięknej Ragusy, gdzie kręcono m.in. filmy o komisarzu Montalbano, oraz miejscowości Modica, gdzie produkowana jest słynna, sycylijska czekolada. A poza tym, najbardziej charakterystyczne zabytki wyspiarskiego baroku. Na Malcie popłynąłem tydzień później, już z kolejną grupą.

- To jednak trochę nietypowa sytuacja, że ty, wykładowca akademicki, nagle zmieniasz pracę. Zostawiasz karierę uczelnianą i zaczynasz pracować jako pilot.

- Moim zdaniem jest to całkiem normalne. Sporo jest wykładowców, nauczycieli, którzy pracują jako piloci. Zadania są podobne: przekazywanie wiedzy, organizowanie czasu, pilnuje planu, zaszczepia chęć głębszego poznania. Różnica jest taka, że w szkole z tą samą grupą spędza się semestr lub więcej, a na wycieczce to kilka dni, czasem tydzień czy dwa. W trakcie wycieczek dotyka się miejsc, o których w szkole się mówi czy słyszy. Sądzę, że każdy powinien czegoś takiego spróbować. Najpierw zdobywa się teoretyczne podłoże w szkole, a potem praktykuje się w terenie. Przecież inaczej opowiada się o różnych woj-

nach czy zabytkach, pokazując slajdy, a inaczej chodzi się tymi ulicami. Na Sycylii można pokazać miejsca, gdzie przebywały Scylla i Charybda, gdzie nadal mami fatamorgana, przejeżdża się obok dawnej Himery, gdzie w starożytności w 480 r. p.n.e. stoczono wielką bitwę, podziwia się źródło Aretuzy w Syrakuzach, które było natchnieniem Karola Szymanowskiego, sprawdza się, czy w teatrach greckich - w Taorminie i Syrakuzach - akustyka rzeczywiście była tak dobra. To zatem naturalne uzupełnienie pracy nauczyciela - podróżowanie i pokazywanie. Na wycieczkach, oczywiście, w większości są osoby dorosłe, co stawia przed pilotem inne wymagania, ale to też są ludzie ciekawi świata, którzy chcą posmakować nowej kultury, poznać inne zwyczaje.

- Pracujesz dla jednego z największych biur turystycznych w Polsce. Czy na twoich wycieczkach pojawiają się gorzowianie?

- Tak. Niekiedy nawet sami ujawniają się, gdy opowiadam o animozjach między miastami we Włoszech. Np. w Toskanii konkurowały one na wysokość wieży. Na Sycylii odwiecznymi rywalami są Palermo i Katania. To pierwsze jest stolicą regionu, a drugie najważniejszą aglomeracją na wschodnim wybrzeżu. Krąży historia mówiąca o tym, że po wielkim trzęsieniu ziemi z końca XVII w. pochodzący z Palermo architekt Giovanni Battista Vaccarini nie włożył zbyt wiele serca przy odbudowie Katanii, stąd miasto jest nieco ponure. Co, oczywiście, nie jest prawdą, bo Katania ma swój urok. Byłem z kolei świadkiem żartów z różnic językowych,

jakie istnieją między oboma miastami: grupa młodzieży z Palermo spacerując po Katanii, poprawiała pisownię nazwy tradycyjnej kulki ryżowej, sycylijskiego przysmaku, który na zachodnim wybrzeżu określa się jako arancina, a na wschodnim - arancino. Porównuję chemię między tymi miastami do relacji w polskich województwach z dwiema stolicami. W sumie nie wiem, po czym turyści wyczuwają, że jestem z Gorzowa. Może gdy zaznaczam, że stolica to katedra, rzeka i tramwaje? (śmiech)

- Obserwujesz rynek turystyczny. Widzisz, że gorzowianie się ruszają po świecie. Twoim zdaniem - z czego to wynika?

- W każdym z nas jest jakaś chęć poznawania nowych kultur, nowych ludzi. Nie spotykam turystów, którzy wożą ze sobą schabowe, które gdzieś tam podgrzewają potem nad zapalniczką. Skoro wybrali się w podróż do innego kraju, to chcą sprawdzić, jak smakuje prawdziwy włoski makaron, jak zrobiona jest tradycyjna pizza. Ludzie są żądni tej wiedzy, doświadczeń kulinarnych. Chcą zrobić własne zdjęcia, a nie tylko oglądać te znalezione w Internecie. To taka zwykła ciekawość świata. I ciekawość drugiego człowieka. Jaki byłby sens podróżowania, gdybyśmy uznali, że wystarczy nam fakt, że wszystko można obejrzeć w internecie czy zamówić w polskiej restauracji. Zwiedzając, uzupełniamy swoją wiedzę, konfrontujemy ją z realiami. Bywają na wycieczkach rodziny z dziećmi. I rodzice starają się pokazać potomstwu te miejsca, o których mówi się w szkole. Mamy do czynienia z grupami świadomo-

my, które jadą po to, aby zwiedzać, poznawać. Można powiedzieć, że wyjeżdżają, aby móc porównać, przywieźć ze sobą nie tylko pamiątki, ale i doświadczenia.

- Nie miałeś doświadczeń ze stereotypowymi, straszonymi turystami z Polski, którzy wszystko i tak wiedzą lepiej oraz wszędzie już byli?

- Wiesz, każdy ma jakieś wyobrażenie wycieczki, na którą wyjeżdża. Każdy by chciał po swojemu ją urządzić. Wstawać o tej a nie innej godzinie. Jeść to a nie coś innego, oglądać takie a nie inne widoki. Każdy ma jakieś wyobrażenie, że potworzę, a potem musi je skonfrontować z rzeczywistością. Przez pierwszy dzień trzeba się zaaklimatyzować. Tak, jak człowiek dostosowuje się do temperatury na Sycylii, tak samo musi dostosować się do wycieczki. Potem już wszystko jest w porządku. Trudno zresztą dziwić się, kiedy człowiek jest w obcym dla siebie otoczeniu, nie zawsze zna język, chciałby czuć się bezpiecznie, a to nie jest osiedle, nie jest to grono rodzinne, oczekuje zatem, aby pilot stworzył dobrą atmosferę. Każdemu z nas zdarza się trochę pomarudzić, ponarzekać, ale w przytłaczającej większości przypadków są to jednak turyści, którzy cieszą się z tego, że wyjeżdżają, że mogą poznać. Nawet jeśli coś nie gra, wówczas potrafią sobie to jakoś racjonalizować.

- Do legendy przeszły opowieści o tym kiedy jeszcze w czasach kariery uczelnianej jechałeś do Włoch ze swoimi studentami, to o godzinie 7.00 w samolocie potrafiliście im zrobić kartkówkę. Przeniosłeś egzaminowanie na turystów z Rainbow? Odpytujesz ich z tego, co zapamiętali?

- Kartkówki w samolocie to przecież rzecz normalna. Wyjazd naukowy to nie wczasy. Dla przyjemności tam nie leciemy. (śmiech) Zajęcia o 5.45 w pociągu między Rzymem a Neapolem też prowadziłem. Tak się złożyło, że Ryanair przeniósł nam termin wylotu do Polski i zahaczaliśmy już o kolejny semestr. Z I Liceum Ogólnokształcącego w Gorzowie wyniosłem taką zasadę, że zajęcia rzecz święta i aby studenci nie stracili niektórych kursów, trzeba było im je zaoferować. A że akurat jechaliśmy z Rzymu do Neapolu - to była wycieczka śladami zjednoczenia Włoch - no to je zrobiliśmy. Jeśli chodzi o turystów z biura - no, czasami się zdarza. Nie jest

to jednak kartkówka na ocenę, tylko kilka pytań na podsumowanie dnia, gdzie można zdobyć jakąś nagrodę. Może to być coś słodkiego lub mały, bardzo drobny gadżet związany z regionem za to, że ktoś słuchał, był czujny. W przypadku złego wyniku na kartkówce-lotówce należało postawić innym wino lub znaleźć podziurawione spodnie Garibaldiego w muzeum w Rzymie.

- Zdarza się, że jeździsz jako prywatny pilot-przewodnik?

- Czasem znajomi chcą gdzieś wspólnie się wybrać, wtedy w niewielkim gronie organizujemy włoskie wypady. Są to miejsca, gdzie i ja chciałbym pojechać, ale samemu nie zawsze się chce. Tak bywa choćby z weneckim biennale, gdzie w gronie koneserów sztuki i kulinariów odkrywamy nie tylko najnowsze tendencje w sztuce, ale i kolejne dzielnice tego miasta na lagunie. Zdarzają się i rodzinne wyjazdy do Rzymu, Neapolu i naszego partnerskiego miasta Cava de' Tirreni. Warto czasem zejść z ogólnie znanego szlaku turystycznego i zobaczyć miejsca, gdzie nie ma tłumów - one też mają swój urok.

- Jak patrzysz na ten nowy turystyczny rok?

- Bardzo pozytywnie. Szefowie największych biur podróży na wspólnej konferencji, która odbyła się jakiś niedługo temu, myślą podobnie. Padły argumenty o szczepionce, ale też i o tym, że wiosną będzie można już spokojnie podróżować. Ludzie są tego spragnieni. Zresztą muszę powiedzieć, że latem w moich grupach było sporo osób, choć trzeba było mieć maseczki, myć ręce co chwila, przed wejściem do każdego zwiedzanego miejsca - nawet na świeżym powietrzu - była mierzona temperatura. Włosi zresztą bardzo o te obostrzenia sanitarne dbali, bo żyją z turystyki, więc wiedzą, czym grozi zamknięcie kraju na turystykę. Warto myśleć pozytywnie. Tyle tylko, że wycieczki nie będą kupowane z wyprzedzeniem, tylko raczej w ostatniej chwili, kiedy będzie można już na 100 procent powiedzieć, że dana wycieczka na pewno dojdzie do skutku i znane będą zasady związane z ewentualnymi obostrzeniami. Myślę i mam nadzieję, że od kwietnia sezon faktycznie ruszy. I na nowo będziemy odkrywać uroki nie tylko Włoch, ale i innych krajów.

- I przy tym zostaniemy. Bardzo ci tego życzę oraz bardzo dziękuję za rozmowę.

Gorzowski sport w 2020 roku

Nie było Igrzysk Olimpijskich i Paraolimpijskich w Tokio w 2020 roku.

Niestety, epidemia zabrała nam możliwość cieszenia się z występów Polaków na najważniejszej imprezie czterolecia. Mimo tego gorzowianie spisali się bardzo dobrze na imprezach mistrzowskich rangi międzynarodowej i ogólnopolskiej. Warto przypomnieć wydarzenie sportowe, którymi emocjonowaliśmy się w 2020 roku.

Koszykarki AZS AJP ENEA - sezon 2019/2020 zakończony został po rundzie zasadniczej. Tym samym akademicki zostały sklasyfikowane na trzecim miejscu i zdobyły brązowy medal Mistrzostw Polski.

KS Stal Gorzów - Sezon ręcznych został zakończony w trakcie trwania rozgrywek. Szczypiorniści Stali Gorzów mieli tyle samo punktów co lider z Ostrowa (37), jednak gorszy bilans bezpośrednich spotkań sklasyfikował ich na drugiej pozycji w I lidze grupy B.

Warta Gorzów i Stilon Gorzów - sezon 2019/2020 IV ligi piłkarskiej został zakończony po 15 kolejkach. Warciarze byli liderami po rundzie jesiennej i to oni świętowali awans do III ligi piłkarskiej. Stilon Gorzów pozostał w IV lidze.

KS Alfa - waterpoliści sezon 2019/2020 zakończyli na trzecim miejscu i tym samym zostali brązowymi medalistami Mistrzostw Polski.

GKS Gorzovia - tenisiści stołowi zakończyli sezon po piętnastu spotkaniach pierwszej ligi grupy północnej. Sklasyfikowano ich na ósmej pozycji.

UKS Floorball - w środku stawki rozgrywki Energa Ekstraligi zakończyli unihokeiści I LO UKS Floorball Gorzów Wielkopolski. Po trzynastu spotkaniach w czternastozespołowej lidze zajęli siódme miejsce.

Żuźlowcy gorzowskiej Stali zaliczyli rekordowo słaby start sezonu, notując sześć porażek w pierwszych sześciu meczach PGE Ekstraligi. Później doszło do niesamowitego zwrotu akcji. Żółto-niebiescy zaczęli wygrywać mecz za meczem i zakończyli rundę zasadniczą na drugim miejscu. W fazie play off odprawili z kwitkiem Betard Spartę Wrocław, by w finale uznać wyższość Fogo Unii Leszno. Gorzowianie zdobyli srebrny medal Mistrzostw Polski! Co ważne zrobili to pod przewodnictwem **Bartosza Zmarzlika**, który w październiku obronił tytuł indywidualnego mistrza świata.



Niewątpliwie największym sukcesem gorzowskiego sportu 2020 roku było mistrzostwo świata Bartosza Zmarzlika, który obronił tytuł zdobyty rok wcześniej



Koszykarki AZS AJP ENEA zakończyły sezon 2019/2020 na trzecim miejscu i zdobyły brązowy medal Mistrzostw Polski.



Warciarze wrócili do trzeciej ligi, ale muszą ostro popracować, by nie zaznać znowu smaku degradacji

W sierpniu do rozgrywek wrócili piłkarze, którzy w ekspresowym tempie dołączyli rozgrywki Pucharu

Polski na szczeblu województwa. Warta Gorzów w ćwierćfinale pokonała Stilon Gorzów. Po tym zwycięstwie

udało jej się dojść do finału, gdzie przegrała z innym trzecioligowcem - zielonogórską Lechią. Warciarze po

rundzie jesiennej znajdują się na szesnastej, spadkowej pozycji w III lidze. Stilonowcy, którzy byli murowanym faworytem do awansu ligę wyżej, obecnie zajmują piątą pozycję w IV lidze i do lidera z Gubina tracą 10 punktów.

Koszykarki AZS AJP ENEA po dziewięciu spotkaniach nowego sezonu Energa Basket Ligi Kobiet są na czwartej pozycji ze stratą punktu do lidera. Szczypiorniści KS Stal Gorzów na półmetku sezonu zajmują czwartą pozycję w I lidze mężczyzn, ze stratą pięciu punktów do pierwszego miejsca. Piłkarze wodni Alfy niestety nie powtórzą wyników z zeszłego sezonu, gdyż wiosną będą grać w grupie spadkowej Ekstraligi piłki wodnej. UKS Floorball w rozgrywkach Energa Ekstraligi Unihokeja jest liderem tabeli z kompletem pięciu zwycięstw i zapowiada się zacięta walka o Mistrzostwo Polski. Jednym z pozytywów 2020 roku jest powrót basketu w męskim wydaniu. Wszystko za sprawą Onlajnersów Kangoo Basket Gorzów, którzy rozpoczęli rozgrywki w III lidze mężczyzn i na starcie rozgrywek radzą sobie bardzo dobrze - znajdują się w czołówce tabeli.

Przełom sierpnia i września był najbardziej obfitującym w imprezy mistrzowskie okresem 2020 roku. Najlepiej spisywali się nasi kajakarze, kanadyjkarze, wioślarze, lekkoatleci, szachiści i przedstawiciele sportów walki. Na Mistrzostwa Polski juniorów i juniorów młodszych w kajakarstwie gorzowianie zdobyli pięć medali (dwa złote i trzy brązowe). Później odbyły się mistrzostwa seniorów. Największą gwiazdą Mistrzostw Polski seniorów w kajakarstwie był **Wiktor Głazunow** (AZS-AWF), który sięgnął po cztery złote i jeden brązowy medal. Oprócz niego medale zdobywali również **Anna Puławska**, **Alex Koliadych**, **Przemysław Korsak**, **Fryderyk Fulko**, **Sławomir Siwiec**, **Grzegorz Bryński** i **Julia Olszewska**.

W Mistrzostwach Polski seniorów w wioślarstwie świetnie spisali się zawodnicy sekcji wioślarskiej AZS AWF, którzy z Poznania przywieźli pięć medali, a **Olga Michałkiewicz** i **Katarzyna Boruch** reprezentowały Polskę na Mistrzostwa Europy. Za to w młodzieżowych Mistrzostwach Europy, Polskę reprezentowały **Zuzanna Les-**

ner i **Weronika Kaźmierczak**.

Największym lekkoatletycznym sukcesem zeszłego roku było osiągnięcie **Kornelii Lesiewicz**. Podopieczna trenera **Sebastiana Papugi** z AZS-AWF Gorzów pobiła ponad 40-letni rekord Polski juniorek młodszych w biegu na 400 metrów. Uzyskała czas 52.86 co było najlepszym tegorocznym wynikiem w Europie, miesiąc później poprawiła swój wynik o 13 setnych sekundy. Ponadto gorzowscy lekkoatleci w Mistrzostwach Polski w różnych kategoriach wiekowych zdobyli 5 złotych, 5 srebrnych i 4 brązowe medale.

W lipcu Indywidualnym Mistrzem Polski w szachach został **Kacper Piorun** (KSz Stilon), a niedługo po nim Mistrzynią została jego klubowa koleżanka **Karina Cyfka**. W rozgrywkach klubowych szachiści zdobyli tytuł wicemistrza Polski.

Niezmiennie bardzo dobrze spisują się przedstawiciele sportów walki. W zeszłym roku gorzowianie zdobywali medale Mistrzostw Polski w boksie, judo, ju-jitsu, kickboxingu i sumo.

Zawodnicy Gorzowskiego Związku Sportu Niepełnosprawnych „Start” podczas Mistrzostwa Polski Osób Niepełnosprawnych w Lekkiej Atletyce (Kraków 21-23 sierpnia) zdobyli 38 medali, w tym 20 złotych, 7 srebrnych i 11 brązowych. Największym wydarzeniem krakowskich zawodów było aż pięć rekordów świata, ustanowionych przez nasze zawodniczki **Renatę Śliwińską** i **Faustynę Kotłowską**. Niepełnosprawni zawodnicy sekcji kolarskiej zdobyli pięć medali Mistrzostw Polski, strzelcy sportowi 10 medali, tenisiści stołowi 9 medali.

Warto odnotować również inwestycje miasta w sport. W lutym 2020 roku do użytku został oddany kompleks Warta Arena przy ul. Żwirowej, który był współfinansowany przez Miasto Gorzów Wielkopolski. Pod koniec 2020 dowiedzieliśmy się również, że w kolejnym roku rozpoczniemy modernizację stadionu lekkoatletycznego oraz budowę hali sportowo-widowiskowej. Inwestycje te są bardzo oczekiwane przez mieszkańców miasta i całe środowisko sportowe.

DAWID KURASZKIEWICZ
WYDZIAŁ SPORTU UM
DARIUSZ WIECZOREK
WYDZIAŁ PROMOCJI I INFORMACJI UM

Jak „Lodostil” czynem społecznym budowano

6 stycznia 1968 roku po raz pierwszy udostępniono gorzowskim amatorom łyżwiarstwa płytę „Lodostilu” przy ul. Pomorskiej.

Po wojnie amatorzy łyżew mogli w Gorzowie tylko pomarzyć o prawdziwym lodowisku. Dzikie ślizgawki urządzono na zamrzniętych stawach, zalewach oraz w zakolach Warty. Było to niebezpieczne, no i musiał być tęgi mróz. Amatorów ślizgania się na lodzie jednak nie brakowało.

W 1958 roku **Edmund Wadzyński**, były hokeista Legii Warszawa, rozpoczął treningi z grupą chłopców na zamarzających rozlewiskach Warty. Można powiedzieć, że tworzył się załazek drużyny, ale nie było lodowiska, dlatego na początku lat 60-tych Edmund Wadzyński podjął starania o to, by zainteresować sprawą władze miejskie. Z jego inicjatywy powstał w styczniu 1963 roku Społeczny Komitet Budowy Sztucznego Lodowiska z sekretarzami partii na czele. Obecność osób z grona władz lokalnych miała zapewnić sukces budowy lodowiska, a przejęcie sekcji hokejowej pod skrzydła Zakładu Włókien Chemicznych Stilon miało spowodować przyspieszenie budowy lodowiska.

Motorem napędowym sprawy cały czas pozostawał nieustrudzony E. Wadzyński. Zanim rozpoczęła się budowa profesjonalnego lodowiska, postarał się o wylanie „dużej ślizgawki” z oświetleniem i bandami w Parku Słowiańskim. Natomiast prace przy budowie lodowiska zaczęły się w maju 1966 roku, choć entuzjaści sztucznego lodowiska natrafiali na liczne przeszkody. Nie wolno było np. budować sztucznych lodowisk w miastach poniżej 150 tysięcy mieszkańców, chyba że było to miasto wojewódzkie. Trzeba było wiele zabiegów, by administracyjne przepisy i zakazy omijać. Rzeczywistość gospodarcza tamtych czasów sprawiała także, że wiele materiałów budowlanych po prostu brakowało, nie można ich było zdobyć. Jak pisał „Stilon Gorzowski” w czerwcu 1966 roku, najważniejszym problemem, po sprawach urzędowych, było zdobycie rur, które miały być zamontowane pod taflą. Udało się ten problem rozwiązać, dzięki współpracy z hutą „Jedność” w Siemianowicach. Lodowisko miało być



Pierwsi gorzowscy hokeiści trenowali na zamrzniętych stawach, zalewach oraz w zakolach Warty

budowane w ramach czynu społecznego, Komitet zwracał się więc do wielu instytucji i miejscowych władz o pomoc. Największy wkład w budowę lodowiska miał oczywiście ZWCh Stilon, który przekazał działkę pod lodowisko. Już sam fakt przekazania terenu nieodpłatnie pozwolił obniżyć kosztorys wstępny o kwotę rzędu 4-5 milionów ówczesnych zł.

Pierwsze spychacze z Gorzowskich Zakładów Mechanicznych pojawiły się na budowie w maju 1966 roku, miały one przygotować nieckę pod lodowisko. O pracach przy budowie lodowiska regularnie wspominały lokalne media („Gazeta Gorzowska”, „Stilon Gorzowski”) Informowano ile godzin społecznie przepracowali pracownicy gorzowskich zakładów, zgodnie z PRL-owskim ruchem przodownictwa pracy. Wymieniano przodowników, a sami pracownicy Stilonu - o czym wspominała zakładowa gazeta - przepracowali 27 tysięcy godzin roboczych. Istotnym wkładem Stilonu w budowę lodowiska było także popularyzowanie samego przedsięwzięcia, tworzenie odpowiedniego klimatu wśród różnych zakładów gorzowskich. Wśród gorzowian często jednak pojawiały się symptomy zniescierpliwienia, gdyż efektów działalności nie było widać i na terenie budowy niewiele się działo. Miało to m.in. odzwierciedlenie w zamieszczonej w „Stilonie Gorzowskim” Zakładowej Szopce Noworocznej w grudniu 1965 roku: „Czekamy trzy la-

ta blisko. Gdzie jest sztuczne lodowisko? Tylko na chodnikach ślisko. Czekamy 3 lata blisko. Gdzie jest sztuczne lodowisko?”.

Jednak w drugiej połowie 1966 roku oraz w pierwszej połowie 1967 widoczne były już efekty budowy tafli. O ogromie pracy świadczą budowlane statystyki: pod taflą znalazło się 20 km rur, wykonano 7 tysięcy spawów, zużyto 900 metrów sześciennych betonu, usunięto tysiące metrów ziemi. Na podkład tafli zużyto 1025 wózków żwiru. Jak wyglądały kwestie finansowe związane z budową lodowiska? Koszt wyniósł 8,5 milionów złotych, z czego połowa pieniędzy pochodziła z dotacji Totalizatora Sportowego. Dla porównania sztuczne lodowisko w Szczecinie kosztowało około 16 milionów złotych. Ciekawostką był fakt, że również zawodnicy Stilonu z sekcji hokejowej pracowali przy budowie lodowiska w ramach czynu społecznego. Miało to miejsce w sierpniu 1967 roku, w godzinach od 9 do 12, a praca ta była traktowana jako „trening siłowy” - takie informacje znalazłem w gorzowskim archiwum w teczkę poświęconej budowie Lodostilu. Płyta lodowiska miała 1800 metrów i otoczona była bandą. Obiekt miał oświetlenie, z megafonów płynęła muzyka, na miejscu można było wypożyczyć i naostrzyć łyżwy, funkcjonowała kawiarenka.

Przed oddaniem lodowiska w użytkowanie rozpisano konkurs na jego nazwę. Przy jej tworzeniu należało brać pod uwagę kombinację trzech pojęć: Stilon, lodowi-

sko, Gorzów. Ostatecznie nowy obiekt otrzymał nazwę „Lodostil”. Jakie argumenty o tym zdecydowały? Była to najbardziej dźwięczna i oddająca charakter obiektu nazwa. Lodowisko znajdowało się przy Stilonie, załoga, dyrekcja zakładu miały największy wkład w powstanie i utrzymaniu obiektu. Taką argumentację można było przeczytać w Gazecie Gorzowskiej. Inne popularne nazwy to „Gorzostil” oraz „Stilonka” (tak miała się nazywać druga mniejsza tafla, której jednak nigdy nie wybudowano). Zwycięzcy konkursu otrzymali bezpłatne karty wstępu na lodowisko przez cały sezon Płytę lodowiska udostępniono mieszkańcom 6 stycznia 1968 roku. Było to 17 sztuczne lodowisko w Polsce i jedyne w ówczesnym województwie zielonogórskim. Wstęp na gorzowskie lodowisko był płatny, regulamin i cennik wywieszono na widocznym miejscu, a załoga Stilonu miała ulgowe opłaty wstępu. Wszyscy jednak podkreślali, że warunki na lodowisku są prowizoryczne. Nie było dostępu do szatni, obiekty towarzyszące i drogi dojazdowe do lodowiska były w budowie. Lodowisko czekało na II etap budowy

Gorzowianie jednak mogli od września do kwietnia jeździć na łyżwach po tafli. „Lodostil” często był wypełniony amatorami łyżwiarstwa, przybywała tam młodzież z gorzowskich szkół Dużym zainteresowaniem cieszyły się organizowane tam bale kostiumowe. Obiekt czynny był nawet do godziny 23. Wyni-



E. Wadzyński na budowie Lodostilu, po którym pozostały już tylko wspomnienia

kały z tego pewne problemy natury „regulaminowej”. Jeden z czytelników „Stilonu Gorzowskiego” w liście do redakcji zarzucał, że po godzinie 22 „na tafli znajdują się dzieci i młodzież w wieku szkolnym „solo”, bez opieki starszych co jest jawnym naruszeniem regulaminów szkolnych”. Apelowal on, by o tej godzinie nie wpuszczać dzieci i młodzież na lodowisko. W tym samym liście bywalec „Lodostilu” skarżył się również na „rozwydrzonych wyrostków”, którzy nie dbali o bezpieczną jazdę na lodowisku. Przy „Lodostilu” działały szkółki łyżwiarskie, sekcje hokejowe oraz łyżwiarstwa figurowego. Hokeiści Stilonu pierwszy mecz rozegrali 13 stycznia 1969 roku z kolegami ze Szczecina. Mecz zakończył się zdecydowanym zwycięstwem gości. Trener Wadzyński dostrzegał wady swoich zawodników, zapewniał jednak, że wkrótce Stilon będzie się liczył na hokejowej mapie Polski. Słowa trenera wkrótce sprawdziły się i hokeiści rozgrywali mecze w II lidze hokeja, byli nawet o krok od awansu do I ligi.

W styczniu 1970 roku w gradzie nad Wartą po raz pierwszy rozegrano mecz międzynarodowy, w którym Stilon pokonał drużynę z NRD (Dynamo Malchin) 10:2. Do Gorzowa przyjeżdżały też inne drużyny z krajów „demokracji ludowej”, ale także ze Szwecji i Finlandii. W tych towarzyskich potyczkach wyraźnie wygrywali z gospodarzami. Po jednym z takich spotkań

Skandynawowie, widząc w czym grają stilonowcy, zostawili im cały swój sprzęt hokejowy.

W połowie lat 70-tych zapadła decyzja o uczynieniu z „Lodostilu” „normalnego” lodowiska z zadaszeniem, oświetleniem i funkcjonalnymi trybunami. Zadania podjęto się w 1975 roku Gorzowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, czyli popularna „Przemysłówka”. Była również zgoda dyrekcji Stilonu na stworzenie lodowiska z prawdziwego zdarzenia. Skończyło się niestety, jak to w „dekadzie sukcesu” bywało, najpierw rozrzebanieniem obiektu, potem jego zamknięciem. Co gorsza wkrótce zamknięto ślizgawkę dla mieszkańców, a lodowisko było tylko dostępne dla hokeistów. Niestety, po kilku kolejnych latach zabrakło lodowiska i dla hokeistów, i sekcja hokeja upadła.

Po 14 latach „Lodostil” przestał działać, choć gorzowianie cały czas mieli nadzieję na remont lodowiska i ponowne jego otwarcie. W 1987 roku przy ulicy Pomorskiej pojawiły się nawet brygady budowlane. Miał powstać nowoczesny pawilon, a po obu stronach tafli betonowe trybuny na 3 tysiące widzów. W planach była również budowa nowego oświetlenia. Jak się okazało były to tylko plany. Dziś po lodowisku pozostało wspomnienie, a tylko najstarsi gorzowianie mogą wskazać miejsce, gdzie kiedyś było lodowisko.

PRZEMYSŁAW DYGAS

Olimpijczyk starej daty na gorzowskim

Andrzej Wołkowski był legendarnym trenerem, który hokeistów ZKS Stilon prowadził, a któremu nie dane było dokończyć sportowego dzieła.

Był sportowcem wszechstronnym. Uprawiał wycieczki, wioślarstwo i kajakarstwo, ścigał się na rowerze i grał w piłkę nożną. Pasją jego życia stał się jednak hokej na lodzie, któremu poświęcił swą młodość, wiek średni i lata dojrzałe. Startował w mistrzostwach świata i na igrzyskach olimpijskich, był trenerem mistrzów Polski i Jugosławii. Przypominamy jego historię w reportażu Jan Delijewskiego, który ukazał się w 1995 r. w książce „Przygody ze sportem”.

Dali kij do łapy i kazali strzelać

Urodził się 13 lutego 1913 roku w grodzie pod Wawelem. W Krakowie więc rozpoczął swą długą karierę hokejową. W Towarzystwie Gimnastycznym Sokół. Pomógł mu w tym przypadek, jak to zwykle w życiu bywa. Uwielbiał jazdę na łyżwach, a najbliższe lodowisko należało właśnie do Sokola. Spędzał tam całe popołudnia, ślizgając się bez opamiętania. Była to kosztowna zabawa. Bilet wstępu kosztował całe 20 groszy. Na szczęście mama rozumiała i pochwałała namiętność syna, gdyż sama lubiła poślizgać się na łyżwach. Znajdowała więc owe 20 groszy.

Trwało to kilka lat, aż któregoś dnia...

- Podszedł do mnie jakiś facet, który często nam się przyglądał i zapytał czy chciałbym grać w hokeja. Miałem 14 lat i o żadnym hokeju jeszcze nie słyszałem. Propozycja jednak mnie ucieszyła, bo poparta była kartą wolnego wstępu na lodowisko Sokola.

Zacząłem chodzić na treningi. Przez pierwsze dni jeździłem jak dawniej. Wreszcie dali mi kij do łapy, rzucili krążek i kazali strzelać do bramki. Antek Reyman, późniejszy serdeczny kolega z drużyny, jał mi pokazywać jak należy nakładać krążek, jak ciągnąć, jak strzelać, by ten fruwał w powietrzu. Nic mi nie wychodziło. Co uderzę, to krążek sunie po lodzie i tak w kółko. Ani o centymetr nie mogłem go podnieść do góry. Złościło mnie to okrutnie. Postanowiłem potrenować w domu. Zamknąłem się w pokoju i dawać po parkiecie strzelać w drzwi. Walilem tak do czasu, gdy z krzykiem wpadła matka i zobaczyła drzwi pięknie obite uderzeniami krążka. Dostałem manto, ale cieszyłem się, że zaczyna mi coś wychodzić. Na lodzie jednak znów nie wychodziło.



A. Wołkowski (pierwszy z prawej) i hokejowa drużyna Stilonu

Spróbowałem więc strzelać w czasie jazdy. O dziwo, krążek unosił się w powietrzu.

Po kilku miesiącach treningu Andrzej Wołkowski rozegrał swój pierwszy w życiu mecz. Sokół spotkał się z RKS Wawel. Były to więc lokalne derby, które zawsze wywołują wiele emocji. Łatwo można sobie wyobrazić emocje debiutanta...

- Przyszedł do mnie pan Olek Kłaput, kierownik sekcji i bez żadnego wstępu powiedział: jutro grasz mecz. Rzucił mi pod nogi sprzęt i poszedł sobie. Zgłupiałem. Jaki mecz? Nie znałem ani przepisów, ani zasad gry. Koledzy obiecali mnie nauczyć...

Całą noc nie spałem. Taki byłem zdenerwowany. W szatni nie wiedziałem nawet jak mam się ubrać. Suspensory były wówczas gumowe, ochraniacze na nogi - piłkarskie getry za krótkie, a spodenki wyglądały na mnie jak slipy kąpielowe. Nogi miałem praktycznie gołe. Jedynie rękawice pasowały jako tako.

Z początku nie wiedziałem co z sobą zrobić na lodowisku. Pętałem się bez składu i ładu, oglądając się rozpaczliwie na kolegów. Aż się zezieliłem. Co tam koledzy, pomyślałem. Dopadłem krążek i wio do przodu przez całe lodowisko, i bęc na bramkę, bęc. Bramkarz normalnie się wystraszył. Wpuścił jednego gola, drugiego, trzeciego... Zdołałem siedem bramek. Od tej pory stale występowałem z nume-

rem siedem na plecach, czy to w klubie, czy w reprezentacji.

Trzech muszkieterów

W barwach Sokola grał przez pięć lat, zyskując miano jednego z najlepszych napastników w kraju. W 1933 roku, za zgodą wszystkich zainteresowanych, znalazł się w Cracovii. Cracovia w owym czasie dysponowała dwójką świetnych napastników, Adamem Kowalskim i Czesławem Marchewczykiem, którzy mieli już za sobą start na olimpiadzie w 1932 roku w Łakę Placid. Obaj grali na skrzydłach, brakowało im środkowego. Został nim Andrzej Wołkowski.

Jeszcze w tym samym roku atak Cracovii stał się podporą reprezentacji narodowej Polski. W kraju nie mieli sobie równych, na świecie zaliczani byli do najlepszych. Nie bez powodu nazywano ich trójką muszkieterów.

A. Wołkowski występował w drużynie narodowej, z przerwą w okresie wojny, do 1949 roku. Zaczynał reprezentacyjną karierę mając lat 20, skończył w 36 roku życia. Kilka razy brał udział w mistrzostwach świata, dwukrotnie startował na igrzyskach olimpijskich. Strzelił niezliczoną liczbę goli. Grał fair i cieszył się sympatią kolegów oraz kibiców. Nie omijały go kontuzje i urazy, ale zawsze starał się być do dyspozycji trenerów.

Z imprez najwyższej rangi najbardziej utkwiła mu w pamięci olimpiada 1936 roku w

Garmisch-Partenkirchen, gdzie polscy hokeiści zajęli szóste miejsce, tocząc dramatyczną walkę z Kanadyjczykami i Austriakami o wyjście z grupy eliminacyjnej. Trenerem polskiej drużyny był Rolf Adamowski, człowiek, który w 1924 roku zaczął Polaków uczyć gry w hokeja na lodzie.

- Przed pierwszym meczem w Ga-Pa trener zarządził rozgrzewkę na naturalnym lodowisku znajdującym się na jeziorze. Jezioro było duże i obawiano się, że lód załamie się pod własnym ciężarem, gdyż powstawały już garby. Wyrąbano więc z brzegu przeręble, aby zapewnić dopływ powietrza pod lód. Ja, nie chcąc nadkładać drogi idąc wyznaczoną ścieżką, postanowiłem pójść na skróty. Przeskoczyłem przez barierkę i patrzę... lecę prosto do wody. Marchewczyk się śmieje, że trenuję pływanie do letniej olimpiady, a ja wściekle wyłażę z wody. Rozglądam się dookoła i widzę, że w pobliżu siedzi sobie na krzeselku Bawarczyk i także rechocze. Ty jesteś już 21 co tak skoczył, mówi do mnie po niemiecku. Ot, miał zabawę.

Na olimpiadzie w Ga-Pa bywały jednak momenty mniej zabawne, choć z czasem i one w ustach A. Wołkowskiego przybrały charakter humorystycznej anegdoty. Ale wtedy śmiać mu się nie chciało...

- Graliśmy mecz z Kanadyjczykami, u których na obrobie występował potężny

chłop, prawie dwa metry wzrostu i ponad sto kilo żywej wagi. W czasie naszego spotkania padał gęsty śnieg. Co pięć minut sprzątano lodowisko, a i tak trudno było się po nim poruszać. Wreszcie udało mi się nabrać szybkości i ruszyć z krążkiem do przodu. Miałem przed sobą tylko wspomnianego obrońcę. Ja w lewo, on w lewo. Ja w prawo, on w prawo. Zrobiłem zwód, żeby wybić go z tego rytmu lewo-prawo, lewo-prawo. i... wpadłem prosto na niego. Wziął mnie na ramię, dostałem w szczękę i tak wyprostowany poleciałem plecami na lód.

Ocknąłem się w szpitalu, gdzie poskładano mnie do kupy i położono na łóżku. Miałem złamany nos, nadwyrężony kręgosłup i byłem cały obolały. O mało się nie załamałem, ale zobaczyłem na sąsiednim łóżku rumuńskiego saneczkarza, który miał szczęście trafić prosto w drzewo. Rozpruty od góry do dołu, cały w bandażach. Pomyślałem więc, że to co mnie spotkało, to jeszcze nic w porównaniu z tym. Spakowałem manatki i ku zdziwieniu lekarzy oraz kolegów wróciłem do zespołu.

Następnego dnia A. Wołkowski był znów na lodzie. Hokeiści to jednak twardzi ludzie...

- Tym razem graliśmy z Austriakami. Mecz sędziował Belg Andre Luace, prezes Światowego Związku Hokeja na lodzie. Ten sam, któremu na mistrzostwach świata

1931 roku w Krynicy rzucono kalosz pod nogi. Widać zapamiętał to sobie dobrze. Austriacy prowokowali bójki, kiedy zaś okładaliśmy się kijami po łbach, on spokojnie odwracał się plecami i wdawał się w pogawędkę z kibicami. Kowalski dostał kijem w oko, które wylazło mu niczym ślimak ze skorupy. Marchewczykowi rozwalono nos. Ludwiczakowi też się zdrowo oberwało. Mnie się jakoś upiekło, bo do bijatyki - byłem przecież nie w pełni sił - specjalnie się nie przykładałem.

Graliśmy jednak dalej. Austriacy prowadzili 2:1. Na pięć sekund przed końcem każdego meczu włączał się buczonek, który buczał do ostatniej sekundy spotkania. Wtedy wiadomo było, że to koniec. Właśnie zaczęło buczać, kiedy dostałem krążek, minąłem obrońców i strzeliłem gola. Uradowany jadę do chłopaków, bo remis dawał nam awans, a oni do mnie z pretensjami, że strzeliłem za późno, że sędzia nie uznał bramki, gdyż jakoby było już po czasie, co było nieprawdą. Skubany, tak nas załatwił.

Załamani poszliśmy do szatni, gdzie przybiegli do nas Szwajcarzy mówiąc, że dla nich to my jesteśmy zwycięzcami. Kiepskie to było pocieszenie. Pomyślałem nawet, że jeżeli na takim sędziowaniu ma polegać owe szybciej, dalej, wyżej, to ja się na to nie piszę. Przyszedł także kierownik ekipy, płk. Głabisz ze słowami pocieszenia, że założą protest,

lodzie

bo to rzeczywiście draństwo. Co tam po proteście, skoro rozpatrywać miał go ten sam drań, co nam sędziował.

Na otarcie łez Polacy wygrali turniej pocieszenia, w którym oprócz nich startowały zespoły Węgier, Łotwy i Holandii.

Głową na bandę

Start polskich hokeistów na igrzyskach olimpijskich 1948 roku w Saint Moritz z góry skazany był na niepowodzenie. Po wojennych zawieruchach sport dopiero się odradzał. Hokeiści nie mieli gdzie trenować. Jedyną sztuczne lodowisko w Katowicach było zrujnowane i czekało na remont. Naszym hokeistom brakowało więc obycia z lodem i krążkiem. Na dodatek nie potrafili grać według zmienionych zasad, które już powszechnie obowiązywały.

W tej sytuacji konfrontacja z drużynami Szwecji, Kanady i Czechosłowacji, które praktycznie przez całą wojnę nie schodziły z lodu, nie mogła wypaść korzystnie...

- Szwedzi robili z nami co chcieli. Czuliśmy się zagubieni, otumanieni, a oni urządzili sobie ostre strzelanie. Przy stanie 12 lub 13 do zera, w połowie trzeciej tercji, nastąpiła zmiana stron. W ferworze walki nie zauważył tego Wróbel i huknął do... własnej bramki. Uradowany podniósł kij do góry i krzyczy: siedemnastka! siedemnastka! Dopiero bramkarz Szlendak zgasił jego radość mówiąc: no i czego się cieszysz baranie, że mi strzeliłeś gola?! Nikt jednak do niego nie miał specjalnych pretensji, bo wszyscy byliśmy skolowani.

W 1949 roku reprezentacja Polski udała się po raz pierwszy do Związku Radzieckiego na kilka oficjalnych i towarzyskich spotkań. Wśród reprezentantów był również Andrzej Wołkowski.

- Najpierw odbywaliśmy wspólne treningi z klubowymi zespołami Moskwy, z Krylią Sowieatów, CSKA i Lokomotiwem. Oficjalny mecz międzypaństwowy rozegraliśmy na Łużnikach. Nie było jeszcze tej pięknej hali widowiskowo-sportowej, graliśmy na stadionie piłkarskim odpowiednio przygotowanym. W drużynie Związku Radzieckiego występował legendarny Wsiewołod Bobrow, późniejszy trener wielokrotnych mistrzów świata. On właśnie przypadkowo zaczął mnie tyżwą, na skutek czego polecałem głowę na bandę. A wtedy grało się bez kasków ochronnych.

Wyrzniętem więc głową w bandę, odbiłem się i upadłem na plecy. Lekarze stwierdzili wstrząs mózgu i pęknięcie czerepu. 25 dni spędziłem w moskiewskim szpitalu. Na tym zakończyłem swój udział w tournée po Związku Radzieckim.

Po powrocie do kraju lekarz kategorycznie zabronił mi grać, kazał unikać wszelkich wstrząsów. Ale powiedz to wariatowi! Mieszkalem w Zakopanem i ledwo się pokazał pierwszy śnieg, wziąłem narty pod pachy i poszedłem w góry. Z początku zjeżdżałem ostrożnie, ale w końcu puściłem się na pełen gaz. W pewnym momencie postawiło mnie w poprzek, wywinąłem kilka koziołków i wylądowałem na śnieżnej zaśpie. Wstałem nieco oszołomiony, ze zdziwieniem stwierdziłem, że widzę normalnie - to nie jest ze mną aż tak źle, pomyślałem, i wróciłem na lód, do hokeja.

Trenerska odyseja

A. Wołkowski wiedział dobrze, że zbliża się kres jego zawodniczej kariery, choć starał się ją maksymalnie przedłużyć. W 1950 roku zapisał się na kurs instruktorów hokeja na lodzie organizowany przez PZHL. Ukończył ten kurs z drugą lokatą na egzaminach końcowych. Rozpoczął nowy etap w swym sportowym życiu, ale okres przejściowy był łagodny - długo jeszcze grał w drużynach, które prowadził jako trener.

Swoją trenerską odyseję rozpoczął w Gwardii Zakopane. Następnie pracował w nowotarskim Podhalu, które wprowadził do II ligi. W decydującym o awansie meczu z ŁKS-em Łódź sam zdobył zwycięską bramkę. W Nowym Targu przebywał od 1953 do 1956 roku. Kolejne dwa lata spędził jako grający trener w Piaście Cieszyń, skąd odszedł po otrzymaniu z PZHL propozycji pracy za granicą.

Przez pięć lat, do 1963 roku pracował w Jugosławii, gdzie przede wszystkim szkolił hokeistów mistrza tego kraju, HDC Jesenice. Ponadto zajmował się kadrą narodową. Odnosił tam wiele sukcesów, zyskał mnóstwo pochlebnych recenzji. Przyczynił się do uruchomienia przez przemysł jugosłowiański produkcji sprzętu hokejowego.

Po powrocie do Polski trenował drużynę GKS Katowice, którą doprowadził do tytułu mistrzowskiego w 1965 roku. W tym samym sezonie uległ prośbom działaczy Odry i przeniósł się do Opola.

Wprowadził opolską Odrę do drugiej ligi i w 1969 roku zameldował się w Tychach, aby uratować miejscowy zespół przed degradacją. Po drodze była jeszcze Stal Sanok, Dolmel Wrocław i w 1974 roku zjawił się w Gorzowie.

Andrzej Wołkowski wspólnie z kilkoma innymi szkoleniowcami i działaczami włożył wiele serca i wysiłku w rozwój gorzowskiego hokeja, który był nawet bliski awansu do pierwszej ligi. Niestety, ten ogromny wysiłek poszedł na marne, został zaprzeczony. 23 czerwca 1982 roku zarząd ZKS Stilon z bólem podjął decyzję „o zawieszeniu działalności pierwszej drużyny hokeja na lodzie” ze względu na zły stan urządzeń pracujących na potrzeby lodowiska, wymagającego zresztą generalnego remontu. Działalność sekcji miała być w ograniczonym zakresie prowadzona. Z czasem działalność sekcji także została zawieszona. A. Wołkowski wyjechał z Gorzowa.

- Wiem z własnego doświadczenia, że jeżeli raz się coś zlikwiduje, to trzeba później długich lat pracy, aby osiągnąć dawny poziom. Nasza drużyna była najstarsza w drugiej lidze, średnia wieku wynosiła 25 lat i jeżeli będziemy czekać kilka lat, to z tych zawodników nie będzie już pożytku, a młodzieży w tych warunkach się nie wyszkoli, i przyjdzie zaczynać wszystko od początku - rzekł na pożegnanie olimpijczyk starej daty, który był ostatnim co hokeistów Stilonu wodził.

■■■

Andrzej Wołkowski zmarł w 1995 roku. Zapomniany, jak gorzowski hokej.

Trudno jednoznacznie ustalić ile razy A. Wołkowski brał udział w mistrzostwach świata. „Encyklopedia Sportu” (wydanie I) podaje, że był on trzykrotnym uczestnikiem MŚ (1933, 1939, 1947). On sam utrzymywał, że w światowych mistrzostwach startował pięciokrotnie (dodatkowo jeszcze w 1935 i 1937). Podobny kłopot jest z uczestnictwem w IO. Pamięć ludzka jest zawodna, ale „Encyklopedia Sportu” również nie jest w pełni wiarygodnym źródłem, gdyż zawiera liczne błędy i nieścisłości. Może i w tym przypadku?

JAN DELIJEWSKI

„Przygody ze sportem”, Agencja DEJAMIR, 1995

Najtrudniejszy był ten pierwszy krok

Najważniejsze jest to, że Gorzów będzie miał wreszcie swoją halę sportowo-widowiskową.

To jeszcze chyba nie początek końca wieloletniej historii budowy hali sportowej w naszym mieście, to nawet nie koniec początku, ale wreszcie mamy konkretne kroki, które w ostatecznym rezultacie mają doprowadzić do tego by ten projekt się zmaterializował.

Podpisanie umowy pomiędzy inwestorem, czyli Słowianką, a wykonawcą, czyli Budimexem oznacza, że właściwie można już wbijać pierwszą łopatę na działce znajdującej się w parku Słowiańskim. Co prawda w najnowszej historii gorzowskich inwestycji znajdziemy i taki fakt, że nie zawsze pacta sunt servanda, bo przecież pierwsza umowa, jaka została podpisana na budowę filharmonii nie została zrealizowana, co spowodowało, że koszt tej inwestycji wzrósł prawie dwukrotnie. Nie sądzę, żeby doszło do powtórki takiej sytuacji, bo i strony umowy inne, a i czasy nie takie, żeby można bezkarnie zrywać podpisane zobowiązania. Wykonawca deklaruje zbudowanie hali w dwa lata. W sieci co prawda natychmiast pojawiły się prześmiewcze komentarze o tym, jak to w maju 2026 roku zostanie podany ostateczny termin zakończenia budowy hali w Gorzowie. Sądzę jednak, że Budimex jest zbyt poważną firmą, notowaną na giełdzie, jedną z największych grup budowlanych w Polsce, by ryzykować jakąś skuchą oznaczającą utratę wizerunku.

W realizacji projektu nie przeszkodzi zapewne brak doświadczenia zarządu Słowianki w działalności inwestycyjnej, bo jak wiadomo, choćby zamiar budowy hotelu skończył się kompletną kląpą. Poza tym tak naprawdę inwestorem jest miasto, które zapewnia też źródła finansowania. Cóż, instytucja inwestora zastępczego nie jest niczym nadzwyczajnym, często się ją stosuje, co w tym przypadku jest tym bardziej uzasadnione, bo przecież Słowianka ma być przyszłym użytkownikiem hali. Będzie więc okazja i czas by się obiektu nauczyć w trakcie jego powstawania i co ważniejsze wypracować

koncepcję i zasady jego funkcjonowania. Ważne jest i to, że zarówno miasto, jak i sama spółka mają świadomość, że powstaje w Gorzowie jeszcze jeden obiekt komunalny, którego działalność będzie wymagała stałego dofinansowania. Niby wszyscy wiedzieli, że baseny publiczne są nierentowne, ale kiedy Słowianka kolejne lata działalności zamylała stratą bilansową, to było powszechne zdziwienie, a czasem wręcz oburzenie.

Słowianka wkrótce będzie obchodzić dwudziestolecie działalności i przez cały ten czas nigdy nie wypracowała zysku. Teraz otrzyma jeszcze jedno element generujący stratę więc trzeba się na tę ewentualność przygotować. I nie ma co snuć mrzonek o zgromadzeniach religijnych, targach i wystawach, bo one na pewno nie będą decydować o wyniku finansowym. Finansów nie uratują także eventy artystyczne, bo mamy wiele przykładów z ostatniego czasu odwoływania koncertów znanych wykonawców, bo nie sprzedano wystarczającej ilości biletów. Trudno oczekiwać, że w gorzowskiej hali wystąpią Rolling Stonsi, bo tylko podobne gwiazdy byłyby w stanie wypełnić pięciotysięczną widownię. Hala tej wielkości jest po prostu jak na gorzowskie potrzeby zwyczajnie za duża, przeformatowana i przeskalowana. Tu widzę źródło przyszłych problemów gorzowskiej hali, bo im większy obiekt, tym większe koszty jego funkcjonowania. Pewnie, że najlepiej by było, gdyby halę oddać w użytkowanie jakiejś miejskiej spółce, która osiąga stały dochód, jak np. wodociągom, ale to pomysł z gatunku żartu. Słowianka, ma tę zaletę, że będzie mogła część zadań związanych z codzienną działalnością powierzyć swojemu obecnemu personelowi, np. sprzątanie, czy obsługę kas i urządzeń technicznych. W ten sposób uda się uniknąć wydatnego wzrostu zatrudnienia, bo niektóre obowiązki będzie można powierzać osobom na tzw. umowę-zlecenie, tak jak to

robi filharmonia, zapewniając obsługę szatni, czy bileterów. Mam bowiem nadzieję, że w gorzowskiej hali będą i szatnie, bo trudno będzie przecież sobie wyobrazić sobie rozkoszowanie się koncertem zakutym w płaszc, czy futro. Mówi się, że spółka przygotowuje biznes plan mający zapewne pomóc w osiągnięciu jak najlepszego wyniku finansowego z użytkowania hali. To dobry pomysł, wiem z doświadczenia, że może to być przydatne. Słowianka, kiedy rozpoczynała działalność otrzymała w wianie od właściciela przygotowany na zamówienie miasta taki właśnie biznes plan. Co prawda w wielu fragmentach prezentował zbyt optymistyczne założenia, ale okazał się pomocny na etapie organizacji spółki oraz planowania celów.

Myszę, że przyszły użytkownik hali winien przede wszystkim wykazać się realistycznym podejściem do problemu, nie wpadać w nadmierny optymizm, czego mogą wymagać względy propagandowe. Trzeba skupić się na minimalizowaniu kosztów, a także na określeniu zasad współpracy z gorzowskimi klubami sportowymi zainteresowanymi z korzystania z hali dla rozgrywek meczowych oraz procesu treningowego. Konieczne będzie nawiązanie współpracy ze związkami sportowymi dla uzyskania prawa organizacji międzynarodowych spotkań, choć tu należy się liczyć z tym, że zwykle przy takiej okazji one też chcą coś zarobić dla siebie, dlatego te prawa najczęściej po prostu odsprzedają bezpośrednim organizatorom. Jak z tego krótkiego przeglądu problemów wynika, wybudowanie hali to połowa sukcesu. Prawdziwe schody się zaczynają wówczas, gdy hala wreszcie stanie i im rozsądniej i szybciej się do tego przygotujemy, tym lepiej dla wszystkich.

Ale najważniejsze jest to, że Gorzów będzie miał wreszcie swoją halę. Cieszę się z tego jak każdy kibic sportowy i każdy mieszkaniec miasta.

JERZY KUJACZKOWSKI

• Więcej sportu każdego dnia na stronach www.echogorzowa.pl •

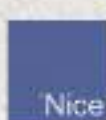
r e k l a m a



METALPLAST

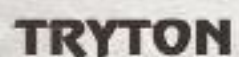


HYDRAULIKA | NARZĘDZIA | ELEKTRONARZĘDZIA | ELEMENTY ZŁĄCZNE | ZAWIASY
ELEMENTY OGRODZENIOWE | AUTOMATYKA DO BRAM | AKCESORIA MEBLOWE I DRZWIOWE



systemy przesłonek

somfy.



METALPLAST GORZÓW WLKP., UL. GARBARY 9

Sekretariat 724 555 536, Dział Metalowy 724 555 546

Dział Akcesoriów Drzwiowych i Okiennych 724 555 538

Dział Akcesoriów Meblowych 724 555 537

www.metalplastgorzow.pl, market@metalplastgorzow.pl

godziny otwarcia: 8⁰⁰-18⁰⁰, sob. 9⁰⁰-14⁰⁰

